№ 19. Warszawa, dnia 12 Maja (30 Kwietnia) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

PRAWDOPODOBNE ROZWIĄZANIE.

Chroniczna walka, czyli — mówiąc żargonem politycznym — „konflikt" kanclerza niemieckiego z parlamentami wszedł w epokę bardzo ciekawą. Według konstytucyi prawodawczymi organami państwa są Izby i Rada Związkowa, cesarz zaś jest tylko „pierwszym między równymi," upoważnionym do podpisywania ustaw, niezależnie od niego uchwalonych. Otóż książe Bismark, korzystając z rozmaitych kruczków, które w każdym paragrafie konstytucyi odszukać można, rozpoczął nowy, sofistyczny jej wykład na korzyść korony i szkodę parlamentaryzmu. Systematyczni czytelnicy gazet pamiętają jego dosadną lekcyę w parlamencie o stosunku dwu tych czynników, w której oświadczył, że ministrowie są tylko służącymi — „knechtami" swojego pana, zawisłymi tylko od niego, nie zaś od jakichkolwiek „większości" i głosowań sejmu. Od owej chwili zaczęły się jawne, dotąd ciągle wznawiane starcia między kanclerzem, usiłującym rozszerzyć władzę korony, a parlamentami, broniącymi swych praw. Gdy przed tygodniem Richter wnosił, ażeby sejm *„wezwał"* zarząd wojskowy" w pewnej sprawie, ks. Bismark cierpkim listem natarł uszy Izbie za to, że śmie „wzywać" bezpośrednio jakąkolwiek instytucyę, zamiast jego „prosić" o pośrednictwo. W odpowiedzi zaś na uwagę Bambergera, że posiedzenia parlamentu podobne są do obchodu weselnego, w którym brak nowożeńca, *Nordd. Allg. Zeitung* zapowiedziała, że kanclerz ma zamiar na przyszłość porozumiewać się z sejmami tylko... listownie. Tak sobie lekceważy przedstawicieli narodu, że nie raczy ich nawet zgromadzonych odwiedzać a interesy załatwiać będzie kartkami.

Jakkolwiek szczegółowe rozpatrzenie przebiegu tej walki dwu zasad politycznych w życiu niemieckiem byłoby nader pouczającem, nie oto wszakże w tej chwili nam idzie, lecz o zwrócenie uwagi czytelników naszych na jeden, najważniejszy jej moment. Konstytucya zastrzega wyraźnie, ażeby sejm uchwalał *corocznie* budżet. Ks. Bismark w zeszłym roku żądał uchwalenia budżetu *dwuletniego*, ale mu odmówiono. Uparty i niezrażony, jak zwykle i jak zwykle szukający nowych dróg do celu, powtórzył swoje żądanie w roku obecnym a wskrzesił je ze zwykłą zręcznością — za pomocą cesarza. Nakłonił zawsze mu uległego monarchę do wydania odezwy, w której ten usilnie zaleca parlamentowi uchwalenie przyszłorocznego budżetu, ażeby jesienne i zimowe obrady mogły wyłącznie zająć się poprawą doli klas uboższych. Przebiegłe to posunięcie odkryło szach podwójny: z jednej strony parlament znalazł się pod moralnym naciskiem powagi cesarza, a z drugiej — pod groźbą utracenia kredytu w narodzie. Jeżeli bowiem nie uchwali budżetu i później uszczupli nim czas, przeznaczony dla projektów w sprawie klas uboższych, rząd zwali na niego całą ich nienawiść. Mniejsza o rezultat świeżo rozpoczętego nad tym przedmiotem głosowania, dla nas najważniejsza zagadka tkwi w tem: na co ks. Bismarkowi potrzebnym jest budżet dwuletni? Czy tym sposobem pragnie na czas pewien pozbyć się niemiłych mu zawsze sejmowań, czy też chce ubezpieczyć się w jakiejś operacyi zewnętrznej? Słowem, jest to rachuba zdenerwowanego starca, czy knującego skryte plany polityka? W tem pytaniu spoczywa drażniąca tajemnica i ogólno-europejska ważność obecnych rozpraw nad przyszłorocznym budżetem. Bo, że kanclerzowi niemieckiemu nie chodzi o zyskanie w jesiennej sesyi czasu dla projektów socyalno-państwowych — każdy chyba pojmuje. Jest to maska zbyt przejrzysta, ażeby kogokolwiek złudzić mogła. Ale gdzie — jak mówią niemcy — „leży pies pogrzebany?" Sądząc powierzchownie, możnaby z rozgłoszonego świeżo włosko-austryacko-niemieckiego przymierza wnosić, że lew przygotowuje się do jakiegoś śmiałego skoku po nową zdobycz i przedtem ubezpiecza swą kotlinę; ale znamy go dobrze i wiemy, że on nie zwykł roztrąbywać swych sojuszów, które mu w przedsięwzięciach służyć mają. Sekret jest tu zawsze potrzebny, a trudno wątpić, że kanclerz niemiecki, gdyby był chciał, opieczętowałby usta najgadatliwszych ministrów włoskich i austryackich, nie mówiąc o reporterach dobrze poinformowanych gazet. Jeżeli zatem trójkołowy rydwan przejechał się po szpaltach wszystkich dzinnników, to znaczy, że główny woźnica nie pragnął pozostawić go w ukryciu. Urzędowe zapewnienia, że włosko-austryacko-niemiecka liga ma zamiary czysto pokojowe, mogą być zupełnie szczere zwłaszcza ze strony Niemiec, którym militaryzm wysysa ostatnie soki. Pozostaje więc tylko domysł, że zestarzały, chory, roznerwowany i rozjątrzony w ciągłych utarczkach z parlamentami Bismark usiłuje dwuletnim budżetem pozbyć się wstrętnych przeciwników i obrońców niemiłego mu konstytucyonalizmu, ażeby spokojnie rządzić z Warcyna i nie pisywać do sejmu nawet listów. Hypotezy tej — która, wyznajemy, wydaje nam się najprawdopodobniejszą — nie podpiera logika polityczna, ale przemawiają za nią względy psychologiczne. Nie należy pod imieniem Bismarka rozumieć wiecznie potężnego demona, lecz człowieka, który, pokonawszy Austryę i Francyę, nie pokona 60-kilku lat swego wieku, skutków niewstrzemięźliwego życia i strasznej, tytanicznej pracy. Wszystko to ma swój wpływ, wpływ niczem nieodparty. Da-

remnie legendowa wiara w niesłabnącą siłę „żelaznego księcia“ powołuje go do nadzwyczajnych przedsięwzięć, on musi dźwigać swą starość, on ma swoją newralgię, rozszerzone żyły w nogach, czego nikt nie liczy, a co liczyć trzeba. Dzięki jemu Prusy rozrosły się nadmiernie, olbrzymie to cielsko zaczyna z głodu chudnąć, trzeba je więc raczej karmić, niż myśleć o nowych, niebezpiecznych rzutach. A i wódz ich nie ten, co przed 12 laty; dawniej naradzał się tylko z dyplomatami, dziś i z lekarzami. Dodajmy wreszcie, że wielkiej swojej chwały stracić nie rad, że przyzwyczajony do druzgotania przeciwników, czuje pod koniec życia coraz większe zachcianki autokratyczne. Za młodych lat znosił konstytucyonalizm, dziś go uciskają te pęta, chce więc przynajmniej rzadko je sobie zakładać, jeśli całkiem zerwać nie może.

Takie jest prawdopodobne rozwiązanie zagadki, którą ten potężny człowiek drażni od kilku tygodni świat w swym projekcie dwuletniego budżetu.

Zadania państwa.

W lutowym zeszycie znakomitego miesięcznika francuzkiego *Revue philos.* znajdujemy pracę Jana Joly'ego, p. t. *Les origines du droit dans leur integralité*. Jest to szkic nowej organizacyi społecznej, próba wytknięcia idei państwowej nowego zupełnie kierunku, nakreślenia władzom sterującym programu o wiele szerszego i pełniejszego, niż te, jakie praktyka lub teorye uczonych z biegiem czasu wyrobiły i za doskonałe uznały. Autora nie zadawalają ani polityczne czynniki, wytworzone przez rewolucyę, ani program socyalistyczny; mozolnie zdobyta wolność osobista i równość w obliczu prawa szydersko, według niego, brzmieć muszą w ustach tych, którzy nie wiedzą, co z tymi fantami czynić, których przemoc kapitału, ulepszenia przemysłu lub fatalizm naturalnej niedołężności rzuca w otchłań nędzy i każe przedewszystkiem myśleć o zaspokojeniu najelementarniejszych potrzeb życiowych, a nie o szumnych frazesach autonomii. Podobnież i na obiecanki kollektywistów sceptycznie spogląda Joly,—zarówno im jak i wszystkim innym systematom filozofii społecznej zarzucając jednostronność. Na nastręczające się uporczywie pytanie: jak wyleczyć społeczność z trapiących ją chorób, metafizycy, liberalni ekonomiści, ci, co widzą w społeczeństwie wielki organizm, jak i ci, co ufają opiece opatrzności, chórem odpowiadają: należy rzeczy pozostawić ich naturalnemu biegowi. Ta bierna postawa wobec wzmagającej się niedoli nie wystarcza autorowi,—pragnie on, ażeby ten sam rozum, który uważa człowieka za koronę stworzenia i podnosi niezrównaną godność jego istoty, idei jego dobra, podporządkował wszelkie inne idee: prawa, rządu, produkcyi i kapitalizacyi bogactw, ażeby ów rozum pracował nad naturą, sprawiedliwość nad fatalnością, moralność nad ślepem działaniem praw ekonomicznych. Innemi słowi Joly pojęcie „prawa“ czyli układu państwowego wyprowadza z odmiennych zupełnie źródeł, niż inni socyologowie. Prócz równości i wewnętrznej godności źródłami temi powinny być, według niego, i inne strony i właściwości natury ludzkiej, pospolicie przez myślicieli przeoczane: zdolność jednostek do doskonalenia się, determinizm psychologiczny, czułość moralna, sympatya i wreszcie solidarność. Osobnik bez świadomości swoich praw i obowiązków nie przestaje być wprawdzie istotą społeczną, lecz wówczas społecznejego instynkta mało się różnią od towarzyskości bawołu. Zadaniem przeto państwa powinno być rozwijanie jaknajtroskliwsze wszystkich wrodzonych człowiekowi władz; nauka powinna się stać jego przyzwyczajeniem,—w tem znaczeniu, w jakiem domagali się tego starożytni, t. j. wyrobić w nim nałóg rozbierania wszystkiego, co podpada pod zmysły. Pozostające w zaniedbaniu umysłowem, jednostka musi stać się żywiołem rozkładowym.

Wyzwolony z jarzma pierwotnych instynktów, człowiek wpada w inną niewolę: w zależność od idej, wśród których wzrasta i kształci się. Wytworzenie zatem najzdrowszego otoczenia, najhygieniczniejszej dla kształtującego się umysłu atmosfery, drogą bezustannego moralizowania — to drugi obowiązek państwa. Nadto wiara w determinizm chroni nas od grubego błędu, jakiego metafizyka wolnej woli uniknąć nie może, czyni nas mianowicie wyrozumiałymi na zboczenia i pochopnymi do niesienia pomocy potrzebującym.

Trzecim pewnikiem, z którym państwo powinno się koniecznie rachować, jest uczciwość człowieka. Istota nasza na nic obojętną nie jest, lecz z każdą czynnością psychiczną, z każdym processem myślowym łączy uczucie zadowolenia lub cierpienia. Należy więc baczyć, ażeby ogół przykrości nie przeważył szali szczęścia: w przeciwnym bowiem razie duch pogrąża się w lenistwie, a intelligencya ulega zanikowi.

Toż samo dotyczy i stosunku dwu innych cech człowieka: instynktów egoistycznych i altruistycznych. Pierwsze, jako wypływające bezpośrednio z fizyologicznego jego ustroju, uprawy nie potrzebują, gdyż są zawsze aż nadto żywotne; drugie zaś, o wiele delikatniejsze, wymagają kształcenia i rozwijania. Dbałe o dobro swych członków społeczeństwo, pomnąc na to, starać się powinno o zachowanie jaknajwiększej między niemi równowagi. Joly wyraża zdziwienie, iż teoretycy państwowi owej szlachetnej potrzeby dzielenia się z naszymi bliźnimi wszelką radością i boleścią nie wcielają do kategoryi istotnych źródeł prawa, pomimo iż to czynili inni myśliciele starożytni (Cycero). Z faktu istnienia współczucia wyciąga zarazem optymistyczny wniosek, iż może na ziemi istnieć bezwzględna sprawiedliwość.

W końcu państwo powinno mieć na uwadze zjawiska najważniejsze, nieodłączne od każdego życia towarzyskiego: wzajemne sprzęganie się wszystkich ekonomicznych spraw jednostek. Społeczeństwo to nie kompanija baronów, wybierających się na polowanie lub rozbój—lecz misterna tkanka różnorodnych interesów. Nad każdem jej włóknem czuwać powinno państwo, jeżeli nie chce, ażeby pojedyncze istnienia splatały się z sobą na ślepo, bezmyślnie, jak gałęzie drzew w lesie, i jedne schły z braku ciepła i światła, a inne tuczyły się ich kosztem.

Tak więc według powyższego rozumowania prawo jest identyczne z państwem, świadomem czynnej roli, jaką mu narzuca nasz ustrój moralny i konieczności materyalne, urządzonem w ten sposób, by mogło uwolnić człowieka od ciemnoty, błędów, niskich instynktów i brudnego samolubstwa przy pomocy wychowania, od niebezpieczeństwa głodowej śmierci i wzmagającej się niedoli—przez uregulowanie stosunków ekonomicznych, stanowiących podwalinę porządku społecznego.

---

[4])

Burza w zaciszu

przez

Swetozara Hurbana.

Maciej Mraz miał już w swej szkole małą garstkę uczniów. Część pasła gęsi, druga, przydatna do robót w polu, rzuciła za piec elementarze i wypisy. Zostali tylko niektórzy starsi z gromadką najmniejszych. Pan rechtor stał przy tablicy i pisał wilgotną kredą wielkie litery. Dzieci kręciły się, jak liście osikowe. Jedno czytało śpiewającym głosem z prawidłowemi przestankami czterotaktowemi, bez względu na końcówki wyrazów, drugie hustało nogami, trzecie się gapiło. Jedna mała dziewczynka rozbiła sobie tabliczkę szyfrową i rozpłakała się żałośnie. Zaledwie ją pan rechtor cokolwiek uspokoił, dało się słyszeć świergotanie wróbla. Cała szkoła obejrzała się. Wylękły Michałek w świadomości swego grzechu, targnął prawą ręką, którą trzymał w kieszeni, a młody wróbel wyleciawszy z ukrycia, tłukł dziobkiem o szyby okna. Wesołość zapanowała w izbie; sam Mraz musiał się uśmiechnąć po pod wąsem nad przerażonym obliczem Michałka. Po wypędzeniu wróbla nastąpiło niezbyt surowe łajanie. Proces więc skończył się szczęśliwie.

Wrótce potem nauczyciel rozpuścił szkołę. Dzieci wybiegły rojem, naprzód chłopcy potem dziewczęta. Na kupie gnoju rozpoczęły się zapasy. Do domu! — zawołał surowo nauczyciel a rozjątrzone chłopaki pozlatywały z kupy.

Tutaj nareszcie znalazła Mraza Katusza i sprawiła się z poselstwa. W milczeniu wysłuchał obszernej mowy staruszki i posmutniał.

— Dokądże mię znów pędzi niezbadany przypadek? Mimowoli wciąga mię coś na obce drogi — myślał w swej izbie. Nie miał w domu spokoju, wyszedł do ogrodu. Jaskółki szczebiotały wesoło, przylatując do licznych gniazd, ulepionych pod dachem szkolnym. Małe pisklęta wysuwały z otworów żółte dziobeczki. Za zbliżeniem się ojca lub matki zaczynały żywiej piszczeć i otwierały dziobki jak najszerzej.

— Nie, nie dam się namówić po raz drugi, wiem dobrze, co o mnie myślą we dworze. Jakiejże rady potrzebuje odemnie łaskawa panna? Wszak nie jest sierotą, radców ma dosyć. Rozmawiać z nią za plecami rodziców? Jaki w tem sens? Nie!

Nauczyciel wszedł po drabince na górę, gdzie się suszyły jego roślinki. Przeglądał je pilnie i wkładał między arkusze świeżej bibuły. Za chwilę usłyszał na dachu lekki szelest, cichy deszczyk spadał z nieba i skrapiał suche gonty.

Mrazowi lżej się zrobiło na sercu. Otóż deszcz pada! A przecież coś go gniewało. Praca nie szła mu gładko, złamał nawet rzadką roślinę, o której sądził, że ją pierwszy opisze. Cybulkowy korzonek zsunął się między odpadki a w półcieniu panującym na górze nie mógł go odnaleźć. Szkaradny dzień — pomyślał.

Orzechowańskim przyniesiono list bardzo ważny, który wzburzył całą rodzinę. Aureli donosił z Pesztu o „nieoczekiwanej“ śmierci drogiego stryja Jana. Pani Orzechowańska siadła w krześle i zakryła twarz chustką. Karol posmutniał w pierwszej chwili, chociaż zostawał z bratem w stosunkach dość naprężonych. Lydya przewracała oczy i usiłowała płakać, co jej się jednak nie powiodło. Tylko jakoś zamiauczała. Po krótkim odpoczynku, poświęconym milczącemu żalowi, czytał Karol: „Stryj pozostawił testament złożony w sądzie, który ma być ogłoszonym w twej obecności ojcze, ponieważ cię blisko dotyczy, jak to stoi wypisane na kopercie. Pospieszaj tedy na pogrzeb, a może wykonamy zaraz ogłoszenie testamentu. Przy-

Pomijamy polemikę Joly'ego ze szkołą spirytualistów w przedmiocie powstawania praw moralnych. Powoływanie się w tym razie na siły wyższe jest, według niego, co najmniej zbytecznem, skoro pochodzenie praw wytłómaczyć można sposobem czysto empirycznym. Rozum człowieka wystarcza najzupełniej do objaśnienia świętości, jaką przywiązuje do swych obowiązków. Nie ma w tem nic nadprzyrodzonego, że ludzkość pojmuje wyższość ducha nad ciałem i rozkazom jego stara się uczynić zadość. Własne dążenia nakazują jej to i pierwiastek mistyczny nie zdoła osłabić doniosłości życiowych potrzeb i doświadczeń, gdyż te jedynie dostarczają nam wskazówek postępowania. Wynalazca pługa nie badał, czy gdzieś w krainie cudów niema jakiegoś idealnego pierwowzoru pługów, lecz po prostu brał w rachubę spójność gruntu i trwałość zużytego na narzędzie materyału. Toż samo stosuje się do prawodawcy; sprowadzanie idei porządku i prawa do rozkazów pozaziemskich zadania mu w niczem nie ułatwia: jego materyały, to pragnienia i własności człowieka; celem zaś jego jest stworzyć jaknajwiększą summę szczęścia i wolności.

Wypowiadając walkę zwolennikom teologicznej teoryi prawa, Joly nie jest łaskawszym i na tych, co gruntują państwo na umowie społecznej. Zapewnia ona wprawdzie, bądź występując jako nauka J. J. Rouseau, bądź jako „Deklaracya praw człowieka i obywatela,“ niezależność każdej jednostce, lecz nic nadto. Najwyższą fazą kontraktu towarzyskiego jest powszechne głosowanie, lecz instytucya tego rodzaju nie wiele przyczynić się może do rozwiązania zawiłych zagadnień społeczno-politycznych. Wybrańcy narodu mogą uchwalić daną instytucyę lub odrzucić, lecz w tym razie rozum zbiorowy nie większą daje rękojmię pożyteczności nowego urządzenia, niż rozsądek indywidualny, a przeto konieczną jest rzeczą, by ster polityczny zasięgał rady u nauki. Jeśli niedoświadczeni rzemieślnicy przedsięwezmą budowę mostu, a ten raz po raz zawalać się będzie, jak temu zapobiegną? Czy wspólną naradą? Bynajmniej: zawezwą architekta i dopiero, mając wskazane zasadnicze prawa budowy, zabiorą się na nowo do dzieła. Z tego stanowiska wychodząc, Joly na miejsce *kontraktu* stawia *konstrukcyę* państwa, czyli pojęcie o wiele rozleglejsze, obejmujące zarazem politykę teoretyczną, filozoficzną. Umowa uwzględnia tylko prawo uczestniczenia w głosowaniu, uznaje tylko udział wszystkich w rządzeniu państwem, a fundamentów gmachu społecznego nie analizuje i nie poprawia.

Myliłby się wszakże, ktoby przypuszczał, że Joly ryczałtowo potępia wszystkie systematy filozofii politycznej. Owszem przyznaje on każdemu częściowe racye, odrzucając tylko pierwiastki, niewytrzymujące surowej krytyki, i we wszystkich widzi jedną wspólną wadę: niezupełność programu i ograniczanie roli państwa do funkcyi urządzenia policyjnego, zapobiegawczego. Metafizykom oddaje wysoką cześć za ich podniosłe uwydatnianie nietykalności istoty ludzkiej, lecz trzyma się zdaleka od ich aprioryczności. Biologom, dopatrującym się w społecznej budowie ścisłego pokrewieństwa z organizmami, zarzuca, iż porównaniem tem, posuwanem przez niektórych aż do tożsamości, poniżają godność człowieczą, zgadza się jednakże z nimi, iż jednostkę łączy z ogółem tak wielka wspólność, że oderwana od niego staje się czczą abstrakcyą. Zwolenników teoryi umowy ceni wysoko za udowodnienie, że organizacya sprawiedliwości jest tylko dziełem woli i rozsądku. Obala wreszcie twierdzenie myślicieli szkoły historycznej, iż położenie w danej chwili istniejące jest najlepszem, ponieważ stanowi naturalny wytwór dziejowej przeszłości lecz brata się z nimi na punkcie wiary, że urządzenia państwowe nie mogą być całkowicie oderwane od tła historycznego. Utrzymuje stanowczo, że reformy prawdziwe polegać winny na przekształcaniu dawniejszych form prawa, na udoskonaleniu stosunków już istniejących, nie zaś na zawieszaniu w powietrzu gmachów pozbawionych podstawy doświadczenia.

Jeśli rozważymy po szczególe wszystkie przytaczane przez Joly'ego źródła prawa, przekonamy się, że podawanie ich za nowe bezwzględnie dowodzi pewnej z jego strony pretensyonalności. Niektóre z nich oddawna już przez naukę i praktykę uznane zostały, lecz należy mu oddać całą słuszność pogłębienia ich i przedstawienia w świetle jednej wielkiej idei przewodniej, idei włożenia na państwo obowiązku czuwania nad wewnętrznem dobrem obywateli. Dotąd rządy po za obrębem zaprowadzania ładu i systematyczności w życiu towarzyskiem i jakiej takiej pieczy o dobrobyt umysłowy nie wiele czyniły dla jednostki społecznej.

Do pojedynczych wymagań systematu Joly'ego przyczepiać się niepodobna; stanowią one bowiem właściwie szkic teoryi socyologicznej, a nie jej wykład skończony i obronę. Należy żałować, że szerzej nie rozwinął tego szkicu, którego praktyczną myśl streszcza w następujących słowach: „Gdy społeczeństwo uświadomi sobie ostatecznie swoje posłannictwo, natenczas usunie wszelkie fatalności natury, zrodzi szlachetną rasę ludzi wolnych, nie w machiawelowskiem znaczeniu tego wyrazu, lecz zgodnie z tem, co wielkiego i dobroczynnego zawiera w sobie pojęcie swobody równych w nabytej godności, niezywiących w swych duszach nic, prócz uczuć braterskich dla wszystkiego na ziemi, co ma twarz człowieka.“

N. H.

SCHULZE-DELITZSCH.

(Wspomnienie pośmiertne).

Zmarły (29 z. m.) w Potsdamie, Herman Schulze urodził się r. 1808 w Delitzsch, miasteczku Saksonii pruskiej. Po odbyciu studyów uniwersyteckich na wydziale prawnym w Lipsku i Halli został najprzód asesorem przy najwyższym sądzie (*Kammergericht*) w Berlinie, a następnie w r. 1841 justycyaryuszem swego rodzinnego miasta. Delitzsch wybrało go w r. 1848 na posła do zgromadzenia narodowego. Pierwszą cegiełkę do przyszłej swej sławy położył w uchwale odmówienia podatku (1848), a następnie przez świetną mowę, wypowiedzianą w swej obronie. Rozgłos jego nazwiska powiększyły jeszcze demonstracye, jakie po uniewinnieniu przez sąd wyprawiono na jego cześć w Berlinie, Potsdamie i Delitzsch. Roku 1852 przeniósł go rząd do Wrześni w Poznańskiem na posadę sędziego obwodowego. Ciągłe jednakże prześladowania i szykany ze strony zwierzchności zmusiły Schulzego do proszenia o dymisyę. Od tego czasu poświęcił się on całkowicie sprawie stowarzyszeń, znanych dzisiaj powszechnie pod jego nazwiskiem, a niezwykle owocna działalność w tym kierunku rozniosła sławę jego imienia daleko po za granicę rodzinnego kraju. Działalność tę rozpoczął Schultze już w r. 1849, zorganizowawszy w sąsiednich miastach Eilenburg i De-

---

jaciele stryja twierdzą, że pozostałość jest bardzo znaczna. W Chorwacyi miał piękne nieruchomości prócz tego w banku okrągłą sumkę w gotowiznie. Mnie, jak wiesz, nie bardzo lubił, to też mu się wcale nie narzucałem! Sprawy pogrzebowe załatwiam wraz ze starą gospodynią, której dobrze patrzę na ręce.“

Wieść zatem żałobna osłodzona była, jak należy, wesołą nadzieją sporego spadku. Z płytkiego serca Karola żal ulotnił się szybko, stosunki jego stawały się coraz przykrzejszemi. Lydya miała nadzieję otrzymania jakiegoś zapisu, pani Orzechowańska zaledwie zdołała ukryć radość. Szwagra swego Jana nie lubiła a nawet prawie nienawidziła, chociaż widywała go rzadko. Był dla niej człowiekiem zanadto prawym i porządnym a mawiał prawdę bratu, który pod wpływem żony wyzuł się z energii.

— Biedny szwagier — westchnęła pani Orzechowańska — musiał tak samotnie umierać.

— On był wcieleniem dobroci — dodała z jękiem Lydya.

— Oszczędzał dla krewnych! Szlachetny człowiek!

— Zwrócił mi z biegiem czasu wszystko, aż do ostatniego krajcara, com mu wypłacił ze spadku! A nawet więcej! Mogę powiedzieć, że nas ocalił od klęski!

Ernest Klenner pospieszył do Hermy dla doniesienia jej z największą ostrożnością o smutnem wydarzeniu. Ona nie znała stryja; czytywała tylko czasem jego listy i lubiła go. Zapłakała serdecznie: to był jedyny, szczery, nieudany objaw żalu nad zwłokami starego kawalera. W twarzy żałobnego posła igrała radość ukryta. Herma to spostrzegła. Skąd się wzięła u niej taka bystrość? Procesy duszy ludzkiej są zdumiewające, niepojęte. Zdarza się, że nagle powstaje w nas zdolność o jakiejśmy wprzódy nie słyszeli. Herma pod wrażeniem wiadomości zmiękła jakoś w stosunku do Ernesta. Długo słuchała w milczeniu wylewów jego serca. Zapewniał ją o swej wielkiej miłości. Nie było przyczyny nie wierzyć jego słowom. Przybywał do nich, ludzi niebogatych, oderwanych od świata a nie był fałszywym. Fanatyzm mniemanej narodowości — ojciec jego bowiem był urodzonym bawarem — skarykaturował go wprawdzie w oczach dziewczyny o uczuciach czystych i naturalnych. Lecz ostatecznie w tym względzie błądzili wszyscy, z którymi obcowała. Zewsząd wyglądała sztywna nienaturalność i grymasy. Umysł prosty, rozwinięty prawidłowo, nie może nie dostrzedz śmiesznych stron w tych, co się gwałtem wydzierają na jakieś uprzywilejowane stanowisko. Prócz tego Herma miała to nieszczęście — dla dziewczęcia w istocie bardzo wielkie — że matka jej była niejako typem nowomodnych błędów i nienaturalności! Herma walczyła po wielekroć sama z sobą, chcąc z obrazu swej matki usunąć te barwy krzyczące, napróżno; olśniewając wzrok, zaciemniały one uczucie dziecka. Odstrychnięcie się od ogółu jest wielkim grzechem. Ma ono następstwa głęboko niemoralne. Głuszy i niweczy nawet święte uczucie miłości dziecinnej. Duszę młodą i szlachetną rzuca w walkę, w przeciwieństwa, w bóle nieskończone. Wypieranie się ludu jest u nas chorobą społeczną. Każda choroba działa szkodliwie na organizmy, chociażby one nie były wprost nią dotknięte.

Herma zastała matkę i starą ciotkę w sukniach żałobnych. Tak prędko chciały chociaż zewnętrznie okazać swój smutek. Człowiek często zagłusza sumienie formami zewnętrznemi.

Karol Orzechowański natychmiast kazał zaprzęgać. Mógł jeszcze zdążyć do stacyi na pociąg nocny. Żegnano go ze zwykłemi w tym razie ceremoniami.

Deszczyk przestał kropić. Ogród tchnął świeżością, od lip zalatywała silna woń. Herma szła około stawu do starego, opuszczonego parku. O jakże pragnęła spoj-

litzsch dwa stowarzyszenia, szewców i stolarzów, mając na celu, dzięki przyjętej za podstawę solidarnej odpowiedzialności wszystkich członków, wyrobienie im kredytu i danie tym sposobem możności sprowadzania potrzebnych do produkcyi surowych materyałów z pierwszej ręki, a więc unikania kosztownego pośrednictwa kupców.

W owym czasie, pod wpływem naglącej potrzeby kredytu dla klas niezamożnych, rzemieślników i robotników, a nadto obawy rewolucyi, w większych miastach Niemiec, a szczególnie w Berlinie, powstawało bardzo wiele stowarzyszeń zaliczkowych i kas pożyczkowych, które jednakże po większej części wkrótce upadały. Stowarzyszenia te oparte były na dobroczynności klas zamożnych, przejawiającej się już to w postaci podarków, już bezprocentowych pożyczek. Zwolennik samopomocy, Schulze, niepowodzenie owych instytucyj przypisywał temu, że podstawą ich była jałmużna. Tym sposobem pożyczający uważał swój dług za wsparcie i o oddaniu go nigdy poważnie nie myślał. Ofiarodawcy niewiele także dbali o to, jaki los spotka darowane przez nich pieniądze, a skutkiem tego fundusze kas wkrótce wyczerpywać się musiały. Schulze sądził, że dla zapobieżenia złemu, należało oprzeć instytucye na samopomocy potrzebujących i tą myślą natchniony założył w kwietniu (1850) w Delitzsch stowarzyszenie zaliczkowe, które początkowo tem tylko różniło się od wspomnianych berlińskich stowarzyszeń, że zarówno jego wierzyciele otrzymywali, jak i dłużnicy płacili pewien, celowi trwałości istnienia instytucyi odpowiedni, co do wysokości umiarkowany procent, oraz tem, że pożyczki mogli otrzymywać tylko członkowie, którzy byli obowiązani wnosić co miesiąc pewną bardzo nieznaczną kwotę (grosz sr.). Gdy jednakże tworzone z tak drobnych wkładek kapitały rosły bardzo powoli, *) i nie było nadziei, żeby w niezbyt długim czasie uczyniły zadość potrzebom, pod nieobecność Schulzego dwaj przyjaciele jego, dr. Bernhardi i majster krawiecki Bürmann, nakłonili (1851) członków stowarzyszenia eilenburgskiego do zastosowania u siebie, dla wyrobienia kredytu, przyjętej przez wzmiankowany wyżej związek szewców i stolarzów zasady nieograniczonej solidarnej odpowiedzialności wszystkich członków za długi instytucyi. Próba wydała pomyślne rezultaty, gdyż, dzięki sumom złożonym na procent w kasie stowarzyszenia, mogło ono udzielić swym członkom już w pierwszym roku 8.801, w drugim 13.336 tal. zaliczek.

*) Po roku dosięgły zaledwie 180—200 tal.

Gdy w jesieni r. 1852, porzuciwszy urzędowanie, Schulze powrócił do Delitzsch, zreorganizował tamtejsze stowarzyszenie w ten sposób, że na miejsce stałej wysokości wkładów po 1 gr. sr. od każdego uczestnika, wprowadził dowolną składkę z ograniczeniem tylko *minimum* do 2 gr. sr. na miesiąc. Po zamknięciu rachunków każdy z członków otrzymywał dywidendę w stosunku do wysokości złożonej przez niego sumy. Nadto dla wzbogacenia kasy obcymi pieniędzmi, oddawanymi na procent, wszyscy członkowie zobowiązali się do wzajemnej nieograniczonej odpowiedzialności. Tak urządzone stowarzyszenie w Delitzsch stało się wzorem dla wszystkich późniejszych, które szczególniej po r. 1856, *) zaczęły powstawać i rozwijać się z nadzwyczajną szybkością, tak w Niemczech, jak w Austryi.

Ażeby dać czytelnikowi wyobrażenie o wielkości tego rozwoju, przytoczę tutaj kilka przynajmniej cyfr, zaczerpniętych ze sprawozdań, wydawanych corocznie przez Schulzego, począwszy od r. 1859. Cyfry te obejmują te tylko stowarzyszenia, które nadsyłały Schulzemu wykazy, lecz stanowiły one mniej niż połowę ogólnej liczby związków. W r. 1859 nadesłało sprawozdania 80 stowarzyszeń, w 1864—455, w 1869 735, 1874—815.

Liczyły one członków: w r. 1859—18.676, w 1864—135.013, w 1869—304,772, w 1874 411.443.

Własny kapitał ich wynosił: w 1859 tal. 276.846, w 1864 tal. 3.252.757. w 1869 tal. 13.253.602, w 1874 tal. 28.191.372.

Ulokowane w nich na procent sumy czyniły w r. 1859—tal. 1.014.145, w 1864 — tal. 12.756.582, w 1869—tal. 42.702.383, w 1874—tal. 101.811.930.

Udzieliły one pożyczek i prolongacyj ogółem w r. 1859—tal. 4.131.436, w 1864—tal. 48.147.495, w 1869—tal. 181.602,109, w 1874—tal. 451.908.394.

*) W roku tym wydał Schultze swoją książkę *Vorschuss und Credit-Vereine als Volksbanken*, w której podał szczegółowe informacye co do warunków zakładania w Niemczech i sposobie prowadzenia stowarzyszeń.

Szybki ten rozrost utwierdził jeszcze bardziej Schulzego w przekonaniu, że stowarzyszenia odpowiadały potrzebie czasu i że podstawa ich (samopomoc i nieograniczona, solidarna odpowiedzialność członków) jest dobrą. To też zaczął się on żywo krzątać koło szerzenia swych idej. Oprócz wymienionych założył stowarzyszenia *konsumcyjne*, mające na celu zakupywanie żywności dla uczestników po cenach hurtowych, i *oszczędnościowe*, których członkowie mieli składać na procent do wspólnej kasy pozostałe im po opędzeniu potrzeb grosze, ażeby z czasem przy pomocy uzbieranego w ten sposób kapitaliku mogli założyć własny warsztat lub handel. Jakkolwiek ten ostatni cel często musiał się okazywać niemożliwym do osiągnięcia, to jednakże oba rodzaje stowarzyszeń, a nadewszystko konsumcyjne, pomimo wszelkich bzdurstw *wyznawców* bezwzględnego panowania „żelaznego prawa,“ mogły i mogą dziś przynieść rzeczywisty pożytek robotnikom wszelkich kategoryj.

Pożyteczną tę działalność Schulzego usilnie popierała prasa, szczególniej liberalna, wyznająca naówczas w ekonomii zasady manczesterskiej szkoły. Dzięki tej okoliczności sprawa stowarzyszeń Schulzego zlała się całkowicie z rozbudzonemi na nowo w owym czasie dążnościami demokratycznemi, przez co pozyskała wiele siły i popularności.

Niestety jednakże, liberalna rzesza nie umiała zachować właściwej miary. Okrzyczała swego mistrza zbawcą ludzkości, który raz na zawsze urwał łeb strasznej hydrze socyalizmu, rozwiązał stanowczo kwestyę społeczną i zażegnał bezpowrotnie „czerwone widmo“ rewolucyi.

Schultze sam początkowo nie miał tak wielkich pretensyj, jakkolwiek będąc przekonany o pożyteczności swych stowarzyszeń, starał się piśmiennie i ustnie szerzyć ich zasady. Dopiero podrażniony przez Lassala, który w broszurze: *Herr Bastiat-Schultze-Delitsch, der oekonomische Julian oder Kapital und Arbeit* (1864) nielitościwie wyszydził, bądź co bądź pożyteczną, jego pracę, przyjął ton wyniosły i dał się wciągnąć w niefortunną dla niego polemikę. W odpowiedzi swej: *Die Abschaffung des geschäftlichen Risico durch Herrn Lassale* oddał się pod patronat Careya, którego idee, dzięki pracom Maksa Wirtha i Dühringa, zaczęły zyskiwać naówczas wielu zwolenników w Niemczech. Pracą tą jednakże dowiódł tylko, że do wielkości po-

---

rzeć na uczciwą, otwartą twarz nauczyciela! Do kogóż miała się uciec ze swem sercem, tak ciężko strapionem? Czy do ciotki, którą zajmowały tylko kupony, wspomnienia różnych przygód wojskowych i ta trocha lombardzkiej włoszczyzny? Czy do matki, tak zimnej? Stara Katusza była znów zbyt prosta, ograniczona i chciała wszystko leczyć ziołami. Na bóle duszy niema ziół.

Spojrzenie na altankę wywołało Hermie krew na policzki. Wczoraj nadał wieczór tej dziwnej scenie pewien powab: teraz potargana budowa sterczała tak skromnie wśród trzciny zielonej. Na stawie biły się głupie gęsi, zanurzały łby w wodzie i znów goniły za sobą z wrzaskiem i gęganiem. Szara gęś chwyciła dziobem białą za czubek, ta zapiszczała i sunęła naprzód. Panna przyspieszyła kroku. Stary park stał w cichym majestacie, odświeżony deszczykiem. Od czasu do czasu poruszyły się puszyste gałązki kasztana: wielkie krople spadały ku ziemi a jedna dobroczynna kropelka uderzyła o główkę dziewczęcia. Jakiż miły chłód przyniosła tej główce rozpalonej!

Nasz Maciej, zdecydowany stanowczo nie stawić się na wezwanie młodej panny, sam nawet nie wiedział, jak zamknął za sobą dom, zasunął rygiel na drzwiczkach od ogrodu i znalazł się zewnątrz swego gospodarstwa. Wyszedł wcale nie do parku, broń Boże, tylko obejrzeć swoją koniczynę. Któż temu winien, że się znajdował tak niedaleko od pańskiego ogrodu. To tylko prosty przypadek!

Łan koniczyny roztaczał świeżą swą zieloność przed oczyma nauczyciela. Różowe łodyżki były jeszcze wilgotne od niedawnego deszczu, ale pszczółki się nie lękały zroszenia skrzydełek i rozbiegły się po kwiatkach. Te kwiatki, jak gdyby unikały ich pieszczot: każdy się ugina i drży, gdy na nim siądzie gość miodonośny! Niejeden nawet strząśnie pszczółkę na dół, ta gniewnie zabrzęczy, okręci się na grzbietku i z nową gorliwością wstępuje na słodką, wonną koronę. Pod mruczącym trutniem biedny kwiat zupełnie się zgina. Jest to prawdziwy łupieżca między roślinnymi smakoszami. W niektórych okolicach nazywają go dość słusznie niedźwiedziem.

Długo spoglądał nauczyciel na swoją rolę i na latające owady. Przepiórka cirkała w sąsiednim jęczmieniu, stada wróbli przelatywały z krzaka na krzak, wrzeszcząc jak ulicznicy.

— No, ale zajrzeć do parku przecież mi wolno — pomyślał nasz dziwak. Właśnie zbliżała się Herma ku wielkiej rozłożystej lipie. Pod lipą stał na okrągłym słupie uszkodzony posążek jakiegoś aniołka, wyciosany dość grubo z piaskowca. Prawa strona pyzatej twarzy odłupała się, nawet nogę amputował mu czas. U posągu stała kamienna ławeczka.

Strach ogarnął dobrego przewodnika młodzieży orzechowańskiej. Żałował już swego przestępstwa, skulił się i zaczaił, jak pochwycony na kradzieży jabłek.

Zapóźno! Herma go spostrzegła i zawołała nań uprzejmie.

Po chwili stanął pod lipą przy ławeczce kamiennej!

Jakże to śmiesznie, jak głupio! Przecież to kompletna schadzka! Od czego się uchronił w ognistej młodości, to spadło nań w wieku dojrzałym! Wszystkie starania w tym względzie na nic się nie przydadzą; nikt nie może uniknąć bezkarnie podobnych niedorzeczności. Leżą one w przeznaczeniu człowieka, kto je prędzej przechodzi, prędzej ma spokój. Lecz on przecież przyszedł na rozkaz! Może się fortepian znów rozstroił! Rozstroiły się, rozstroiły struny, tylko nie w starym brzękadle, lecz w sercu!

Twarz Mraza ożywiła się wzruszeniem wewnętrznem. Przed nim stała wysmukła postać panienki w pełni krasy z wzrokiem płomiennym i śladami walki duchowej na licu. Cóż to za śmiałość ogarnęła jego serce tak lękliwe i potulne!

Nie spuścił oczu lecz spojrzał jej bystro prosto w twarz. Zapewne poraz pierwszy

ruszonej przez siebie sprawy nie dorósł i mniemanego mistrza swego w wielu punktach nie zrozumiał.

Odtąd potęga jego wpływu coraz bardziej słabła, zwłaszcza śród robotników fabrycznych, którzy skutkiem agitacyi Lassalla patrzyli na stowarzyszenia Schulzego z niedowierzaniem. Wreszcie dla nich nie miały one i mieć nie mogły nigdy wielkiego znaczenia. Największy pożytek przyniosły klasie rzemieślniczej i drobnemu kupiectwu. Te dwie klasy dostarczyły największego zastępu członków schulzowskim stowarzyszeniom. Robotnicy właściwi stanowili zaledwie 5 do 6% ogólnej liczby stowarzyszonych.

Pomimo upadającej swej sławy, nie osłabł jednak Schulze w działalności do końca życia, jakkolwiek zamiast pobudzać, jak dawniej, do zakładania nowych stowarzyszeń, głównie troszczył się o połączenie wszystkich już istniejących w jeden ogólny związek. Początek tego zjednoczenia powstał już w r. 1859, na skutek uchwały zjazdu w Weimarze. W r. 1865 założony został w Berlinie przez związek schulzowskich stowarzyszeń centralny bank pod firmą *Deutsche Genossenschaftsbank*, z kapitałem zakładowym 3 mil. talarów.

Dla uzupełnienia biografii dodamy, że w r. 1861 wybrano go w Berlinie na posła sejmu pruskiego, gdzie się przyłączył do partyi postępowców. Tutaj przedstawiał niezmordowanie coraz nowe projekty praw dla stowarzyszeń, aż w r. 1867 osiągnął nareszcie cel, gdy sejm pruski zatwierdził przedstawioną przez rząd ustawę *Genossenschaftsgesetz*, która jednakże w rzeczywistości była tylko kopią projektów Schulzego. Na mocy uchwały parlamentu w r. 1872 stała się ona obowiązującą w całych Niemczech.

Kilka faktów, na których rozbiór brak tu już miejsca, zdaje się świadczyć, iż pod koniec życia Schulze uznał, że sama pomoc własna nie zdolna jest zaradzić wszystkim potrzebom społecznym. Ciekawych odsyłam do dzieła R. Meyera *Der Emancipationskampf des vierten Standes*.

W. Wścieklica.

ŚPIEWAK NERWÓW.

W Paryżu zjawił się nowy poeta. Do niedawna jeszcze ukryty na poddaszu w dzielnicy łacińskiej, otoczony jedynie szczupłą garstką wielbicieli, szerszym kołom wcale nieznany — odrazu dziś stał się bohaterem dnia nietylko we Francyi, ale i w dziennikach najrozmaitszych języków i odcieni. Mówimy o p. Rollinat, którego na światło dzienne wyprowadziła i rozsławiła — Sara Bernhardt.

Czem jest Rollinat i jakie jego stanowisko w królestwie pieśni, czytelnicy *Prawdy* łatwo odgadną z publicznego rozejrzenia się w zbiorku rozkrzyczanych poezyj.

Tomik ten zatytułowany *Les Névroses* (choroby nerwowe), a pojedyncze jego działy takie mają napisy: „Dusze,“ „Lubieżności,“ „Przytułki,“ „Strachy,“ „Ciemności.“ Motto książki stanowią słowa Hioba: „I do zgnilizny rzekłem: ty jesteś moim ojcem, a do robactwa — wy jesteście moją matką i siostrą.“ Na pierwszej stronie znajduje się portret autora. Jest to duża głowa, osadzona na romantycznym, szerokim kołnierzu futrzanym. Z pod ponuro ściągniętych brwi złowrogo spoglądają czarne oczy, a wokoło tragicznego czoła swobodnie powiewa obfity kruczy włos. Z pomiędzy dwustu utworów, z których składa się zbiorek, każdy z nich poświęcony jest innej osobie. Wśród zapału dedykacyjnego Rollinat nie zapomniał i o feljetoniście *Figara*—Albercie Wolfie, któremu dostał się wiersz p. t. *Frissons* (dreszcze). Ktoś dowcipnie powiedział, że Rollinat widocznie uważa książkę swoją za rodzaj omnibusu lub pociągu spacerowego do nieśmiertelności, w wehikule więc swoim daje miejsce każdemu ze swych przyjaciół.

Co do treści *Névroses*, autor jej w naturze nie widzi nic prócz śmierci, tę ostatnią zaś pojmuje tylko w najwstrętniejszej postaci, jako zgniliznę w towarzystwie wyziewów rozkładowych i rojącego się robactwa. Wyłącznemi jego uczuciami są odraza, obrzydzenie i obawa nieuzasadniona. Wszędzie widzi się zagrożonym przez widma i szkielety lub drażnionym przez zjawiska w rodzaju pokus, które miał do zwalczenia Antoni padewski. Z zamiłowaniem rzeźbi opisy kaszlących i spluwających suchotników, gnijących trupów i niemile woniejących błot; unosi się nad wściekłymi kotami, spoconymi końmi i konającymi osłami. Gdziekolwiek otworzysz jego książkę, wszędzie znajdziesz wywody o chorobie, jątrzeniu się, śmierci, zgniliznie, strachu. Rozkoszuje się w nagromadzaniu szczegółów najdziwaczniejszej szpetoty i najszczęśliwszym jest, gdy nurza się w kale najbardziej gęstym. Powtórzyć jakikolwiek cały utwór z wydanego zbiorku Rollinata niemożliwem tu jest choćby ze względów najprostszej przyzwoitości. Pojedyncze strofy jednak z tych utworów także dostatecznie charakteryzują ich wartość. W wierszu, nazwanym *Frissons*, powiada: „Strach jest czarnym dreszczem myśli; strach, co wśród drogi naszej nadludzkie stawia osobistości, strach o rękach niewidzialnych, co drzewo przystraja kościotrupem lub kirem żałoby; co sprawia, że trzęsiemy się, jak dziadek (!!) i gdy jesteśmy sami, lica nasze marmurową powleka białością.“

W wierszu „Staw“ czytamy: „Pełen starych, ślepotą rażonych ryb staw rozciąga pluskającą grozę nieprzejrzystości swojej pod głęboko zwieszającym się, głuchym i pioruny ciskającym niebios stropem.“ „Tu w dole koboldy przyświecają czarnym, strasznym i postrach siejącym bagniskom. A on, staw, w pustej tej stronie przejawia się jedynie okropnym skrzekiem ropuch suchotniczych (*de crepauds poitrinaires*). Księżyc, co właśnie wschodzi w tej chwili, zdaje się tu przeglądać tak fantastycznie, że patrząc na jego potworne oblicze, nos spłaszczony i dziwną nieokreśloność jego zębów — rzekłbyś, że to trupia głowa z wewnątrz oświetlona, w ciemnem odbita zwierciadle.“

Treść wielu wierszy, jak: „Piękna sprzedawczyni serów,“ „Mięso,“ „Łono,“ „Dwóch suchotników,“ „Bańka,“ „Krowa do wołu“ i t. p. z powodu niskiego realizmu swego do najlżejszej nawet nie kwalifikuje się wzmianki. Co do innych, jak: „Panna skielet,“ „Zabalsamowana nieboszczka,“ „Żywcem pogrzebany,“ „Monolog Tropmana,“ „Skład samobójców,“ same nagłówki już mniej więcej zdradzają ich osnowę lub przynajmniej cechują krąg myśli poety. Słowem, kto jest w stanie bez mdłości książkę Rollinata odczytać do końca, ten istotnie silną ma naturę.

„Ową poezyę szlachtuzową (*Schindangerpoesie*) — powiada M. Nordau — odstręczającą czyni to, że ona jest nawskróś nieprawdziwą. Rollinat nie ma na uspra-

---

w życiu patrzył na kobietę. Serce jego odżyło i wtrząsnęło się silnie.

Zdjął kapelusz. Białe, wyniosłe czoło mężczyzny odbiło od tła zieleni. Herma pochwyciła go za rękę i posadziła na ławeczce. Obfity strumień łez wytrysnął jej z oczu. Były to dziwne łzy, sączyły się powoli, a twarz przytem ani się zmieniła, ani skrzywiła. Herma zaczęła spowiedź swoją głosem przytłumionym, który, w miarę opowiadania, stawał się coraz dźwięczniejszym. Słowa wyrywały się z głębi piersi, brzmiały i drżały jak dźwięki struny stalowej. Po raz pierwszy w życiu wypowiedziała cały swój stan wewnętrznego przygnębienia. Otworzyła serce na oścież przed mężczyzną, do którego miała zupełne zaufanie, zapewne dla tego, że był człowiekiem prawdziwym, bez barw, bez maski i bez obłudy.

— Teraz kolej na pana — dodała nakoniec głosem zniżonym. Ja umilknę, abym mogła wysłuchać pańskiego zdania, pańskiej rady. O jakże mi teraz lekko na sercu, panie rechtorze, jak gdybym otrząsnęła duszę z ciężkiego grzechu.

Wyrazy: „panie rechtorze,“ wymówione przez dziewczynę, odezwały się niemile w duszy Mraza.

— Zapewne się panu wydam natrętną z moją śmieszną historyą, która pana wcale nie dotyczy. Czyż jednak wyświadczenie dobrodziejstwa dzikiej, opuszczonej dziewczynie mogłoby być dla pana przykrością? Wszak powołaniem pańskiem jest pocieszać, radzić, wychowywać! Czemuż pan milczysz? Czym pana obraziła? Czy jestem nudną, dziecinną? Dla czego pan opuszczasz głowę?

Mraz naprawdę spuścił głowę i milczał. Myśl jego całkiem omdlała, tylko serce biło. Głuchy, palący ból zwierał mu łono, oddychał jakoś ciężko. Przesunął rękę po czole. Czarująca rozkosz tchnęła od postaci dziewczyny, słowa jej pełne zaufania, działały na miękką duszę jego słodko, upajająco. I znów oparła rączkę, tę świeżą miękką rączkę na jego ramieniu tak niewinnie, tak po dziecięcemu. Pełne, różowe usta w oczekiwaniu na pół się otwarły. Cóż za powab, cóż za idealna, czarująca piękność spoczęła na tych ustach słodkich, różanych!

— Co panu? — spytała Herma, nachyliwszy się ku niemu, a gorący jej oddech wionął mu z lekka na twarz.

— Jam już dawno zamarł — rzekł Mraz, na pół szepcząc i wstrząsnął się gorączkowo. Rączka Hermy zsunęła się z jego ramienia na ławeczkę.

Herma jakby wytrzeźwiała. Naraz dostrzegła, że się znajduje w położeniu dziwnem, jeśli nie śmiesznem. Zawiodłam się — błysło w jej myśli — skądże to wzruszenie?

Mraz był blady i od tej bladości twarz jego postarzała. Czoło się pomarszczyło.

Herma szybko powstała z ławeczki. Jakiś ból niepojęty opanował jej serce. Spojrzała raz jeszcze na nauczyciela; on siedział na ławce zgnębiony, bezwładny, nawet niby skostniały. Zielonawy surdut staromodny, czarna chustka na szyi, wszakże to tak nieładne, dziadowskie! Myśl ta dziwna, niemożebna wprzódy, zabłysła w głowie dziewczyny. Te kilka godzin nauczyły ją wielu rzeczy, których się przedtem nie domyślała. Dopóki rozum przebijał ze zdań nauczyciela, dopóty lgnęła do niego, jakby urokiem jakimś pociągana; teraz gdy go wezwała na pomoc w labiryncie uczuć, on sam się zbłąkał na krętych schodach i sam potrzebowałby rady i pomocy. Co tu czynić? Żałować, czy śmiać się? Czasem nad głową człowieka przelatuje demon! Nad głową Hermy wionęły jego skrzydła — rozśmiała się.

(D. c. n.)

wiedliwienie swe szczerości, tych bowiem okropnych, wstrętnych uczuć, o których mówi, wcale nie doznawał. Kłamie, dworując dyabłu, kłamie, udając, że z przyjemnością wącha woń trupią. Jest to niegodziwa afektacya — „poza“ — jak mówią francuzi.“ A nawet nie jest on oryginalnym. Utwory jego są nędzną karykaturą pieśni Baudelaira i Piotra Borela. Ale Borel i Baudelaire, jakkolwiek także byli śpiewakami ciemnych stron życia i natury ludzkiej, posiadali przecież inteligencyę i talent. Rollinat ma tylko wstrętną przesadę. Borel i Baudelaire byli jeszcze dziwakami, Rollinat jest już śmiesznym. „Wobec poezyj owych dwu utalentowanych głupców otwierano szeroko oczy, czytając Rollinata — trzeba spluwać.“

I to obecnie podoba się w Paryżu. Bo drażliwość nerwowa należy tam w tej chwili do dobrego tonu, dzienniki bulwarowe wciąż z namaszczeniem rozprawiają o „grande névrose“ naszego czasu, a kto choć raz nie miał napadu melancholii lub manii niszczenia, wcale do „towarzystwa“ zaliczać się nie może.

Oto jest tajemnica tryumfu „śpiewaka nerwów“ Rolllinata. W literaturze francuskiej niewątpliwie zniknie on bez śladu, ale do historyi cywilizacyi nowoczesnej stolicy świata stanowi przyczynek wymowny.

F. Z.

SNY I WIDZENIA J. SŁOWACKIEGO.

I.

W ostatnich latach życia Słowacki, cały zatopiony w mistycznem i spirytystycznem doktrynerstwie przyznawał zarówno własnym jakoteż obcym snom i widzeniom niezwykły wpływ i wagę. Mając pod ręką nieznany pamiętnik poety, w którym zapisywał swoje widzenia z ostatniej doby życia, chciałbym, podając tu po raz pierwszy wiadomość o nich, zerwać tę tajemniczą zasłonę, którą otaczają zwykle naszych największych poetów, pogrążonych pod koniec życia, po prostu—w ciemnocie i obłędzie.

Zanim bliżej poznamy jeden z licznych objawów chorobliwej wyobraźni Juliusza z owego czasu, kiedy dawszy się porwać zgubnemu prądowi towianizmu, marnował siły i talent w błahych spekulacyach teo- i kosmogonicznych, rozpatrzmy przedewszystkiem jego senne marzenia wogóle. Nie będą one obojętne, jakby na pozór sądzić można, dla historyka literatury, zajmującego się zazwyczaj innymi, choć bardzo podobnymi utworami wyobraźni poety. Sny bowiem są zawsze odblaskiem umysłowej fizyognomii i indywidualności a zostają w ścisłym związku z naszym stanem wewnętrznym, z zatrudnieniami i całą historyą życia. Ponieważ zaś każdy człowiek ma swój właściwy charakter, przeto i sny jego posiadają pewną, jakby rodzajową cechę i odkrywają czasem najlepiej głąb jego duszy.

Pierwszą kategoryę sennych marzeń Słowackiego z ostatnich lat (1842—1849) stanowią różnorodne wyobrażenia, pomieszane i pogmatwane chaotycznie — przynajmniej tak się nam dzisiaj przedstawiają. Są to zapewne kształty, nadane przez wyobraźnię poety ostatnim zmysłowym poczuciom lub samoistnym działaniom zmysłowym. Usłyszał może jakiś głos albo dźwięk, a jego senna wyobraźnia przemieniała je zaraz w anielską muzykę i t. p.

Druga klasa przedstawia nieco wyższy stopień powiązania z sobą wyobrażeń, jak wiadomo, przez podobieństwo, spółczesność lub przeciwieństwo. I tak np. dostarcza mu słuch, zamiast pojedynczych wyrazów, już całe zdania a jego wyobraźnia wkłada je w usta znajomych osób itp. Wszelako owe głosy i obrazy okazują się jeszcze odstrzelone od siebie i nie kojarzą się w sceny, połączone pewnym wątkiem.

Do trzeciej nakoniec klasy zaliczam ściśle spojone z sobą sceny, całe epopeje senne, w których już widać pewną porządkującą siłę i działanie wyższych władz umysłowych.

Jak wiadomo, dochodzą sny ostatniej kategoryi do zadziwiającej doskonałości; niektóre zmysły, rozbudzone i podniecone marzeniem, stają się nadzwyczaj czujne, zmysł zaś skupiony i rozogniony może dojść do uderzających natężeń, przez co cała sprawa bezwiednego kojarzenia wyobrażeń nabiera jakiegoś wyższego namaszczenia i genialnego piękna; ochrzczona zaś mianem przeczucia i przewidywania, związawszy się ściśle z rzeczywistością, nabiera pozoru jakiejś dwulicowej niezależności od warunków czasu i miejsca, ograniczających nasze indywidualne istnienie.

Takie ekstatyczne stany, imponujące niby jasnowidzenia nieobeznanym z mechaniką naszego uczucia, myślenia i dążenia, uwiodły też i Słowackiego, które je sobie tłomaczy w najdziwaczniejszy sposób, nieraz bardzo naciągany do mistyczno-spirytualnej teoryi. To oszukiwanie się w najlepszej wierze łatwo pojąć. Wszakże o snach i widzeniach naszych wiemy to tylko, co sobie z nich przypominamy, przypominając zaś, opuszczamy niektóre szczegóły, inne zaś przekształcamy. Wiele zaciera się nam w pamięci, wiele uchodzi naszej uwadze, a temu, co zostało, nadajemy dowolne postacie i kolory. Otóż i z sennemi widziadłami poety działo się podobnie. Tak jak się zachowały, są to najczęściej tylko odłamy z całości, niby oderwane szczegóły z jakiegoś dramatu, nieraz niemające żadnego między sobą związku. Ale on łączył owe szczegóły w całość, stosownie do podmuchów uczucia, i wyciągał z nich wnioski, nakręcane do swojej *idee fixe*.

W sennych marzeniach i widzeniach na jawie Słowackiego widać zawsze pewne wykolejenie, jakieś nienaturalne napięcie i zamęt, cechujące go zupełnie w owej ostatniej dobie połamanego życia. Sny jego przedstawiają drgającą myśl, w mgliste odzianą formy, które jakby tony dziwnej harmonii, mieszając się z sobą, ogarniają nas mistycznym urokiem i niewyraźny zostawiają obraz w naszej duszy. Bardzo rzadko napotkasz tu skończony plastyczny obraz, tchnący spokojem, myśli i wyobrażenia poety nie krystalizują się w zmysłowe formy, jasne i namacalne, jak z marmuru wykute, ale niby w delirium przechodzą przed oczami duszy całe procesye widoków jaskrawych i męczących.

Spotkałem się tylko z jednym czarodziejskim kwiatem poezyi, złożonym na ołtarzu sennego marzenia i kwiat ten stanąć może godnie obok najszczytniejszych utworów sztuki. Bo też między nimi a snami niezaprzeczone zachodzi powinowactwo. Myśl senna odziewa się także w kształty, tony, kolory, tylko że nie wychodzi po za obręb naszej wyobraźni, jest więc nieraz tem, czem jest sztuka, nim się stała dramatem, rzeźbą, symfonią lub obrazem.

W widzeniach Słowackiego spotykamy t. z. sny zmysłowe, uczuciowe i rozumowe, omamienia wzrokowe, słuchowe i dotykowe, ale nader rzadko złudzenia węchowe i smakowe *); zazwyczaj są te objawy fantazyjne, powiązane albo poplątane między sobą.

Tematem tych fantazyjnych złudzeń najczęściej bywa na jawie albo we śnie myśl, którą sobie poeta zaprzątał wówczas głowę, albo to, co silniej poruszało fale jego uczucia. Jest pewna podstawa do przypuszczania, że niektóre senne jego marzenia mogły być wywołane sztucznie. Gaszyński wspomina w jednym liście do Krasińskiego *), że Słowacki zażywał w owym czasie opium dla zbudzenia widzeń, które mu sam opowiadał, a spisywanie przez poetę niektórych sennych złudzeń umyślnie na osobnem miejscu w pamiętniku zdawałoby się ten domysł potwierdzać wraz z tą okolicznością, że w owym czasie było zwyczajem upajać się narkotycznymi środkami (że tu wspomnę tylko o zażywaniu eteru w podobnych celach przez Krasińskiego, o czem sam wspomina w listach do Gaszyńskiego). Ale zagadkę tę mógłby stanowczo rozstrzygnąć tylko fizyolog lub psycholog, który zajmuje się specyalnie tego rodzaju objawami. Z częstych złudzeń słuchowych, zwłaszcza krzyków i gotowości do lotu, które napotykam w snach Słowackiego tego czasu, możnaby np. wnosić, że zażywał chaszyszu (indyjskich konopi); ale znowu wiadomo, że opiatyczne marzenia cechuje wesołość i przyjemność, kiedy tymczasem charakter snów Juliusza nie nosi piętna „zachwyconej kontemplacyi,“ owszem, jest raczej ponury i smutny.

Schodząc z tych kilku ogólnych uwag do poznania w szczegółach widzeń Słowackiego, ograniczam się głównie w czerpaniu danych na autografach po nim pozostałych.

Dla uzupełnienia przedmiotu podaję tu sny i widzenia, z których poeta donosił matce w listach z epoki towianizmu. Wjednym z ostatnich (24 marca 1839), pisanych przed poznaniem Towiańskiego, donosi:

„Ośm temu miesięcy, przyjaciel mój Zygmunt (Krasiński), przyjechawszy z daleka, doniósł mi, że ty droga nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść, *a choć w sny nie wierzę* (ostatni raz mówi tak na pół trzeźwo Słowacki), sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącom przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie, wypadającą z powozu, wywracającego się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przezroczysta rzeka; ja stałem na górze i widziałem ciebie, usuwającego się szybko po stromym brzegu przepaści, nareszcie widziałem, jak upadłaś w wodę, jak szaty twoje nabrzmiały, jak szłaś coraz dalej i nareszcie zniknęłaś w głębinie. Sen ten... chwila, była mi jak wieczność długa, a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności i usiadłszy na łóżku płakałem — *odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego.*“ A więc wierzył w sny, choć się nie chciał do tego przyznać.

Widzenie to da się wytłomaczyć ówczesnym stanem niepokoju i trwogi Słowackiego, nieotrzymującego przeszło pół roku żadnej wiadomości o swej ukochanej matce.

Z niezwykłego jej milczenia mógł wnioskować, że się coś stało — może zachorowała, może... Myśl ta zaciężyła jak zmora na duszy stroskanego syna.

Dowód niepokoju znajdujemy w innym liście tejże daty: „*Zalany łzami i trzęsący się cały*, nie wiem, jak zacząć list do ciebie, najdroższa moja i święta moja! Czy opowiedzieć ci *cierpienia duszy, których doznałem od ośmiu miesięcy, nie wiedząc, co się z tobą dzieje...*“

Od czasu przystąpienia do towianizmu, zaczyna Słowacki z największą starannością notować i obserwować swoje sny i widzenia. Wiadomo, jak wielką wagę przypisywali tym zagadkowym objawom duszy wyznawcy Towiańskiego: wierzyli w ich spełnienie i kierowali się nimi w życiu. Tak np. Mickiewicz zapisywał senne marzenia w tym czasie powszechnego obłędu

---

*) Szokalski *Fantazyjne objawy zmysłowe*, II, 29, J, 217, 269 i n.

*) Siemieński, *Dzieła*, V, 29.

i ślepo im ufał. Podaję tu kilka wybitniejszych przykładów. „Widzenie w biały dzień“ człowieka (Towiańskiego) z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym w biedzie, po błocie i mgle“ (*Korespondencya* 1877, I, 18) jest dostatecznie znane. Wewnętrzne zapasy, które Mickiewicz staczał z sobą po wstąpieniu do nowego zakonu zaznaczone są w następnej notatce (I, 40): „We snach mam często i ciężkie walki z duchami przeciwnymi, a jeszcze ani razu mi się nie przyśniło, żebym ich zwyciężył. To męczą mię, to wołam o ratunek, to uciekam...“ Na doniesienie poety (I, 51) że „współdrzymiącemu stanął mu na chwilę przed oczy Lelewel w bardzo brzydkiej postaci“ i że „tego dnia i Ferdynand (Gutt) miał o nim czucia przykre i ziębiące“ odpowiada mistrz charakterystycznie (I. 56): „Sny wasze bardzo prawdziwe. On (Lelewel) duchem głębokość dziejów ludzkich przeniknął, (ale) wzrósł tem w dumę, rzekł sobie, że wszystko ogarnął — dziś skoro koło nieznane jemu otwiera się, musi albo trapić się z upokorzenia w sobie, albo ze skruchą wejść w tę krainę.“ A zatem usiłowano Lelewela pozyskać do sprawy, a gdy nie zdołano, stał się w ich oczach „dumnym i brzydkim“ —*inde somnus*! W nocy z 7 na 8 grudnia 1842 miał Mickiewicz dziwny sen. „Czułem — spowiada się przed mistrzem (I, 61) — blisko Chrystusa w postaci *Ecce Homo*, a wkrótce obaczyłem gwiazdeczkę, wielką iskrę — i poczułem też przy sobie ducha Napoleona. Zaczęły mi składać się słowa.“ Tu wypisuje owe tajemnicze wyrazy, zastrzegając, że są z ducha poczęte „*bez żadnego współdziałania innych władz umysłowych*,“ co im naturalnie w oczach towiańczyków boskie nadaje znaczenie. Smutne wiadomości o Ferdynandzie Gutt były powodem następnego widzenia (I, 143). „Raz śniło mi się, że walczyłem z wrogami a Ferdynand wisiał na mojej szyi bezwładny, słaby i że go tak nosiłem. Inni także o nim śnili; to nas bardzo niepokoiło.“ Kiedy wielki wódz chorągwi Chrystusa miał zamiar przeznaczyć osobne mieszkanie na skład pism i rzeczy, należących do „sprawy,“ wyśniło się to pastuszce (I, 153): „Ciągnęło mię czucie ku mieszkaniu jednej pastuszki kóz, gdzie nigdy nie byłem, która o sprawie wie i świętobliwie żyje. W tymże czasie ona nic o moich zamiarach nie wiedząc, miała nadzwyczajne widzenie, iż Bóg w jej chatce przyszedł mieszkać.“ Nie trzeba, zdaje mi się, psychologa, aby zagadkę tę rozwiązał. Krzewiciele nowej nauki, a więc głównie Mickiewicz, głosili, że w religii nic nie znaczy „słowo,“ dyskusya, ale wszystko „ton“ i uczucie. „Pamiętajcież—kazał np. braciom zgromadzonym na St. Charles—ton dawać, ale nie słowa.“ Z tego stanowiska można wytłomaczyć i zrozumieć następujący sen (II, 99): „Kiedy byłem u wód—opowiada Mickiewicz— w śnie nadzwyczajnym była mi dana przestroga. Przyjaciel mój, który nawet nie jest w kole, we śnie przyszedł mnie pocieszać. Wiele narodowych pieśni mi śpiewał a szczególniej jedną — tej muzyki szczęty zachowałem w mojej pamięci i strof kilka słów zapamiętałem (poeci śnią nawet wierszem“). Gdy Mickiewicz objawił chęć wspólnego śpiewania w kole tej pieśni, zakazał mu tego uroczyście przyjaciel w następujących słowach (wszystko to we śnie): „*Nutę* pieśni im dawajcie, ale *słów* broń was Boże im dawać — kto na *nutę* nie odpowiada, *słów* temu nie dawać!“ (D. n.)

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Ks. Win. Witkowski. **Rok 1573 w dziejach i historyografii narodu polskiego.** Warszawa, 1883, 8-a, str. 130.

Pod powyższym tytułem ogłosił ks. Wincenty Witkowski broszurę, której pierwsza stronica mieści dedykacyę p. Deotymie, a okładka — zapowiedź pism nowych. Roboty ks. Witkowskiego traktować seryo nie można; warto ją jednak zaznaczyć, jako objaw klerykalnej czelności, która cywilizacyę obraża i dla najszlachetniejszych porywów ludzkości nie zna szacunku.

„Pierwsze zachwianie cnót w narodzie przyniósł nam — według ks. Witkowskiego — husytyzm..; drugim źródłem grzechu był humanizm“ (str. 12). „Natura ludzka pod działaniem humanizmu straciwszy poczucia i instynkty chrześciańskie: chętnie z chrystyanizmu zatrzymała to, co jej schlebia, jak np. *wolność*, a zapomniała o tem, co krępuje — władza.“ (83). Zapomniał autor, że na innem miejscu (15) przyznał humanizmowi podniesienie idei państwowej, że go uznał za pewien czynnik dodatni; z pamięci mu wyszedł Ostroróg i Kalimach, którzy dla podniesienia władzy królewskiej nie szczędzili mozołów.

Trzecim grzechem, który państwo polskie przyprawił o zgubę — była rewolucya, t. j. „wywrócenie porządku bożego na ziemi, określonego na pierwszej stronicy katechizmu, że Bóg na to stworzył człowieka, by go znał, kochał, jemu *służył*, a po śmierci żywot wieczny otrzymał“ (60). Taka potworna rewolucya nawiedziła nas w r. 1573, wtenczas to bowiem „najwyższe prawo człowieka ogłoszono i postawiono na miejscu prawa bożego“ (65), do czego na wschodzie przyszło dopiero w r. 1789 (19). Trzy kolejno po sobie idące grzechy: husytyzm, humanizm i rewolucya pozbawiły nas ducha chrześciańskiego, nie dopuściły rozrostu władzy królewskiej, zaszczepiły anarchię i sprowadziły upadek. Ks. Witkowski lubi rząd silny; zaznaczyć jednak wypada, że go proteguje o tyle tylko, o ile nie wchodzi w drogę klerowi. Oburza się na Kazimierza Jagiellończyka, że odjął kapitułom prawo wolnego wyboru biskupa (29), choć to przecie korzystne było dla *władzy*.

Czy historyozofia ks. Witkowskiego z katechizmem jest w zgodzie? Wiemy skądinąd, że grzechów przy konfesyonale można się pozbyć; wiemy również, że ojcowie nasi z husytyzmu, humanizmu i rewolucyi spowiadali się, otrzymywali rozgrzeszenia i odprawiali zadane pokuty. Czy więc słusznie ks. Witkowski konsekwencyami umorzonych zbrodni obarcza ojców? Nieoględność w wyrażeniach, połączona z nieznajomością faktów, może prawowiernego autora w fałszywem w oczach *Przeglądu Katolickiego* postawić świetle. *Świętokradztwem* nazywa uchwałę sejmu, wymagającą od członków kapituł szlachectwa (5), a nie wie, że świętokradztwo owo zyskało sankcyę papieżów. Leon X pozwolił w r. 1515, aby w arcybiskupstwie gnieźnieńskiem i w biskupstwach: krakowskiem, kujawskiem, poznańskiem i płockiem z wyjątkiem czterech plebejuszów, wszyscy kanonicy byli szlachcicami; bullę zaś Leona potwierdził Paweł III w r. 1543.

Gdyby w XVI wieku zasiadł u nas na tronie autor, inaczejby było, inaczej! Z zasady, że tak zwana tolerancya jest objawem słabych przekonań religijnych, a brak wojen domowych skutkiem słabych przekonań politycznych (45)—podżegałby Jego Królewska Mość wojny domowe i nie dopuściłaby tolerancyi. Zapewnia wprawdzie autor, że dozwolłby swobody wyznawania wiary, lecz bez praw polityczno-społecznych (57); państwo bowiem katolickie „ma prawo, obowiązek i konieczność stanąć w obronie swej wiary, a herezyę zredukować i zamknąć w religijnem jej wierzeniu bez wpływu na układ społeczny“ (84). Ludzie reformacyi byli *naturalnie* „źli i zepsuci, przewrotne dusze, skażone serca, bez czci, moralności żadnej...“ (29); z karczemnego słownika czerpiąc obficie, łży ich szan. autor najohydniejszymi wyrazy. Zygmunt I jest *głupi*, bez moralności i zasad (8); to znowu *nędzny*, patyarcha bezmyślnej polskiej polityki *apatyczno-głupiej* (9), *nasz nędznik* (19) itp. O „podrzędnej głupocie *nihilisty*, Jana Zamojskiego (65), z taką autor prawi swobodą, jakby o pierwszym lepszym swoim koledze; bez skrupułu nie pawiem, jak chciał Słowacki (według ks. W. Krasińskiego), lecz nazywa polaków „błaznem narodów“ (str. 87).

„Słupy niebieskie trzęsą się i chwieją na gromienie jego...“ Czytając karczemne ks. Witkowskiego pokrzyki, pytamy z Jobem: „Któż wypuścił osła dzikiego na wolność? a pęta osła dzikiego któż rozwiązał?“

Wiadomość historyczna o rodzie Świnków oraz rodowód pochodzącej od nich rodziny Zielińskich herbu Świnka. Zebrane i wydane przez G. i J. Zielińskich. Część II od r. 1600 do czasów obecnych. Toruń, 1881, 8-a, str. 484.

O warunkach, gwarantujących wartość opracowań historyi pojedynczych rodzin szlacheckich, wypowiedzieliśmy swe zdanie przy ocenie pierwszej części wydawnictwa pp. Zielińskich (*Prawda*, 1881, nr. 29); obecnie parę uwag, dotyczących części II wypada dodać. Po roku 1600 Zielińscy częściej się ukazują na widowni publicznej: arcybiskup lwowski, Konstanty, ważną gra rolę jako stronnik Leszczyńskiego a przeciwnik Augusta; biorą Zielińscy udział w ruchu barskim, a na sejm czteroletni dostarczają reprezentantów sporo, bo sześciu. Interesują też nowe szczegóły do życia arcybiskupa; szkoda tylko, że wiadomości o posłach są skąpe. Materyału do charakterystyki życia szlachty znajdujemy tu więcej, niż w części pierwszej: zdarzy się czasem testament lub inwentarz majątku, chociaż suche i mało uczące rodowody zawsze główne zajmują miejsce. Piękne wydanie książki kosztowało zachodów i pieniędzy niemało: „szersze pobudki przy tych samych mozołach i groszach wydaćby mogły owoc zacniejszy i trwalszy.“

Józef Łoski. **Jan Sobieski, jego rodzina, towarzysze broni i współczesne zabytki.** Dzieło, ozdobione 50 rycinami. Warszawa, drukiem Józefa Ungra, nakładem autora, 1883.

Gdy komisya historyczna Akademii Umiejętności w Krakowie ogłasza zebrane przez Ed. Fr. Kluczyckiego i K. Waliszewskiego *Acta Joannis Sobieski*; gdy czasopisma podają dyaryusze wyprawy z r. 1683, księgarnia Gubrynowicza i Schmidta robi w celach spekulacyjnych niefortunny przedruk listów Jana III do żony, a p. J. A. Święcicki mozoli się nad nieskończonym jeszcze przekładem z hiszpańskiego panegiryka Vegi — p. Józef Łoski powziął fortunny zamiar wydania rycin, dotyczących bohatera z pod Wiednia, jego rodziny i czasów. W pierwszym zeszycie tego pięknego wydawnictwa znajdujemy: dwa portrety Jana III. wizerunki rodziców, żony i syna Jakóba; herb Janinę, monogram Sobieskiego, płaskorzeźbę z pomnika i parę rzeczy drobniejszych. Obok rycin pomieścił wydawca tekst, zawierający życiorysy sportretowanych osób.

Nie mając nic do zarzucenia rycinom, śmiemy zwrócić uwagę wydawcy, że tekst, lubo wogóle poprawny (ab. na str. 11 zam. Prażmowskiego mylnie podany prymas Radziejowski), jest jednak odnośnie do wydatniejszych postaci historycznych zbyteczny. Rozumiemy potrzebę krótkich życiorysów osobistości mniej znanych, np. Jakóba Sobieskiego, rodziców króla, żony nawet; lecz taki Jan III, o którym rozwodzi się każde kompendium historyczne,

mógłby się bez tekstu obyć wygodnie. Zredukowanie tekstu do minimum uprzystępniłoby cechę wydawnictwa, które ze względu na swą zawartość nęci i ludzi ubogich.

Wł. Smoleński.

G. Renard **Czy człowiek ma wolną wolę?** tłom. z francuskiego, nakładem redakcyi *Wędrowca*. Warszawa 1883 r.

Jest to pierwszy tomik seryi dwunastu dziełek mających na celu rozbiór i popularyzacyę najważniejszych współczesnych zagadnień filozoficzno - naukowych. Autor gorący wyznawca czystego determinizmu jasno i przystępnie wykłada zasady tej filozoficznej teoryi. Powstając przeciw zasadzie wolności woli, zaznacza różnicę między determinizmem a fatalizmem i oświadcza się stanowczo przeciw wszelkim ugodom i zmianom (np. Schopenhauera). Ponieważ pisze dla szerszej publiczności, szczegółowo więc mówi o zastosowaniu teoryi determinizmu do wypadków z życia codziennego, przytacza stosowne przykłady, broni wreszcie determinizm od posądzeń o niemoralność i wykazuje, że nie stoi on wcale w sprzeczności z istniejącemi wierzeniami religijnemi. Część historyczna opracowana słabo a raczej nie majej wcale; tu i owdzie znajdujemy tylko wzmianki o poglądach na ten przedmiot Spinozy, Kanta, Schopenhauera i innych; ale dla pracy mającej na celu jedynie przystępność i popularyzacyę nie jest to wielką wadą. Na wskróś francuski umysł autora unika wszelkiej metafizyki, starając się głównie o zrozumiałość. „Wierzyłem i dotąd wierzę —powiada on — że francuscy filozofowie nic nie stracili, ukochawszy jasność; sądzę, że czas nam powrócić do dawnej tradycyi, pozostawiając niemieckim myślicielom ich styl apokaliptyczny; chciałbym wreszcie by w epoce demokracyi i kraju naszym tak demokratycznym starano się uprzystępnić dla wszystkich wielkie problemata interesujące całą ludzkość.“

Nowych oryginalnych poglądów nie znajdzie nikt w tem dziełku, ale też dziś w tym przedmiocie trudno zdobyć się na oryginalność. Dla przeciętnego wszakże czytelnika, mającego bardzo słabe pojęcie o różnych zagadnieniach filozoficznych, popularyzacya taka bardzo przydać się może.

Przekład jest dosyć staranny, opatrzony w kilku miejscach przypiskami redakcyi, drobnych błędów językowych nie liczymy.

J. L. P.

Prasa peryodyczna.

Ateneum, marzec i kwiecień.

Dr. Chmielowski ukończył swą cenną rozprawę p. t. „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi w latach 1815—1823.“ Autor jaskrawemi barwami charakteryzuje ten kierunek ówczesnych prądów liberalnych, którego przedmiotem było poprawienie doli włościan, i przeciwstawia im zarazem reakcyę, zwróconą przeciw umiarkowanie humanitarnym popędom i projektom hr. Strojnowskiego, F. Paszkiewicza, ks. Bohusza, Lachnickich i przeciw bardziej śmiałym a gorzkim, satyrą zaprawionym wystąpieniom „Towarzystwa Szubrawców.“ Dalej wykazuje, jak skutkiem knowań obskurantów sprawa wyzwolenia ludu ścieśnioną zostata nieznacznie do szerzenia oświaty, jaki kierunek starał się wytknąć jej Strojnowski, wiecznie śpiewający na nutę prawa własności i jakich wreszcie sposobów dla zachęcania ludu do nauki używano. Poglądy publicystów ówczesnych na nieodłączną od sprawy włościańskiej kwestyę żydowską są tu zarówno szeroko uwzględnione. Część ostatnia pracy zawiera niezmiernie ciekawe notaty o zręcznem obznajmianiu ogółu przez stronnictwo wolnomyślniejsze z zasadami europejskiego konstytucyonalizmu, co wpłynęło niemało na rozwój swobodniejszej w społeczeństwie myśli; dalej zaznacza wysoką tolerancyę rządu wobec uniesień patryotyzmu, wywołanych przez śmierć Kościuszki, powszechne braterstwo partyj i wyznań w owej uroczystej chwili, zajadle wycieczki *Wiadomości brukowych* przeciw szlachcie i jej samozwańczemu przedstawicielstwu, żywe rozprawy, toczone w przedmiocie ukształcenia kobiet, których jednostronne, płytkie wychowanie ściągało już wówczas gwałtowne pociski ludzi, lepiej rozumiejących posłannictwo niewiast. Silnie też zaznaczoną tu jest doniosłość wszelkiego rodzaju naukowych towarzystw dla ówczesnego liberalizmu, towarzystw, których działanie najlepiej ilustruje popularność Szubrawców i Wolnomularzów. Wielce płodny żywot owych kółek przecięły w dobie ich najwyższego rozkwitu wybryki Metternicha, za którego wskazówkami wraz z innymi gabinetami poszedł i rząd rosyjski, znosząc swobodę stowarzyszania się i poddając bolesnej dla całego kraju amputacyi personel profesorów wileńskiej wszechnicy. Jest to okres zwycięstwa wstecznictwa—przedostatni moment epoki rozpatrywanej przez dr. Chmielowskiego— ostatnim jest narodzenie się w osobie mistrza Mickiewicza nowego, potężnego pokolenia pisarzów, które wkrótce do nowego życia miało powołać społeczeństwo całe.

Drugą pracą o szerszym zakresie jest ekonomiczno-statystyczny szkic p. J. Blocha p. t. „Finanse Rosyi w XIX w.“ Zapowiadając parę jeszcze numerów tego artykułu, autor objaśnia, iż podaje w nim streszczenie przygotowywanego obecnie do druku trzytomowego dzieła, w którem przedmiot ten opracowywa obszernie, a które, jako dosyć suche i specyalne, pragnie w ten sposób uprzystępnić szerszej publiczności. Jest to bezwątpienia praca, jak żadna może inna, na dobie, tem bardziej, że służyć ma w swej części historycznej, krytykującej przeszłość rosyjskiej skarbowości, za podstawę do wniosków praktycznych. Jest to, słowem, usiłowanie wykazania przyczyn, dla których wszystkie dotychczasowe reformy okazywały się bezskutecznemi, i wskazania zarazem nowych środków zaradczych. Dotychczasowe dwie części świadczą, iż autor badania swe oparł na bardzo szerokiej podstawie, podana przezeń charakterystyka działalności Piotra Wielkiego, Katarzyny II, Pawła I, Aleksandra I, Mikołaja, rozbiór działalności ministeryalnej Speranskiego, Mordwinowa i Kankryna porusza prawie wszystkie gałęzie administracyi i zaleca się śmiałym krytycyzmem i gruntowną znajomością przedmiotu.

Dział historyczny w zajmujących nas zeszytach wypełniają aż trzy rozprawy. Niewielki rozmiarami, lecz treściwy szkic krytyczny p. Klemensa Kanteckiego o Katarzynie Kossakowskiej, kasztelanowej kamieńskiej (1754—1800) jest strumieniem zimnej wody, wylanym na głowy chwalców i panegirystów szanownej tej damy, między którymi tak wybitne miejsce zajmuje Lucyan Siemieński. Opierając się na mniej optymistycznych sądach Władysława Łozińskiego, ogłoszonych w *Galiciana* i cennych notatkach, zawartych w *Dzienniku generała Kreczetnikowa*, autor zdziera maskę z twarzy „ostatniej matrony polskiej,“ a utwierdzony w podejrzeniach swych świeżą publikacyą dra Kaz. Waliszewskiego, przedstawia w całej wstrętnej nagości dwulicowość charakteru Kossakowskiej, wykazując, iż była przez całe życie swoje dobrowolnem narzędziem rządów obcych przeciw dobru własnej ojczyzny. Nieskończona jeszcze praca p. Bron. Chlebowskiego, stanowiąca niejako monografię husarstwa polskiego, a oparta na pamiętnikach Samuela Maszkiewicza, husarza z czasów Żółkiewskiego i Chodkiewicza, napisaną jest jędrnie i zajmująco.

Rozprawa p. St. Ł. stanowi próbę odczytania ciekawego rękopisu z XII i XIII stulecia, rękopisu, który dla swej zagadkowości i częściowej nieczytelności zajmował już uwagę Kętrzyńskiego i Wojciechowskiego a uznanym został za kalendarzowy ułamek z klasztoru lubińskiego, oznaczający na lat kilka z góry datę świąt wielkanocnych, praktykowanym naówczas zwyczajem. P. St. Ł. tablicę tę, zwaną pospolicie „paschalną,“ w kopii litograficznej dołącza do swego artykułu a usiłowanie zapełnienia luk popiera licznymi, trafnymi domysłami. Zabytek ów znajduje w bibliotece berlińskiej, dokąd umyślnie w celu zbadania go udał się jeden z historyków naszych.

Do prac, najrzadziej u nas przedsiębranych, należy rozpoczęty w zeszycie kwietniowym artykuł p. J. Karłowicza o „najnowszych badaniach podań i ich zbiorach.“ Usiłuje w nim autor na grunt nasz przeszczepić zdobycze, odniesione w ostatnich czasach przez uczonych niemieckich i angielskich w zakresie podanioznawstwa. Ze względu na to, iż dociekania tego rodzaju prowadzą do wniosków nader pouczających, bo potrącają o mitologię, poezyę i psychologię ludów a wyświetlają mnóstwo prawd historycznych, praca Karłowicza silnie rozciekawia każdego, kto pojmuje doniosłość szerokich wywodów z drobnych napozór faktów. W rozebranych dotąd podaniach o „Parsiwalu,“ „Winicleusie,“ „Siedmiu braciach śpiących“ i „Wiarołomnej wdowie,“ wskazane są wszystkie te zamiary, do których uczeni dzieje legend naginają, a mianowicie: geneza ich, stopniowe przekształcanie się formy surowej w postać bardziej kunsztowną, a w końcu ściśle artystyczną; rozwój czynników narodowo-psychologicznych, wyciskających swą pieczęć na podaniach i wreszcie wędrówka ich z narodu do narodu. Ten ostatni moment jest może najważniejszym, poznając bowiem „tajemne ścieżki legend, wyświetlamy szlaki pochodu i zapożyczania cywilizacyi,“ albowiem wraz z baśniami przybywają zwykle i inne pierwiastki kultury: prawo, nauka, sztuka, zwyczaje. Ten szereg konsekwencyi wieńczy to jeszcze, że utwory poetyckie i wogóle artystyczne wszechświatowej sławy snują się zwykle z podań i legend, czego dowodzą poematy Goethego, Schillera, Mickiewicza, Shakespeara, utwory Wagnera i inne. Praca zatem Karłowicza przeprowadza do nauki naszej świeży i wielce obiecujący żywioł.

Pomijając drobne artykuły sprawozdawcze, wspomnieć jeszcze winniśmy o przytoczonym i przetłomaczonym przez p. R. Lewenfelda na język polski wierszu Andrzeja Trzecieskiego na śmierć Jana Kochanowskiego. Pan L. rękopism łaciński odnalazł w jednej z prywatnych bibliotek. Zapomniany ten utwór stanowi piękne świadectwo uznania współczesnych dla Jana z Czarnolasu i wrażenia, jakie wywarła nagła jego śmierć.

H.

LIBERUM VETO.

Wiec w Poznaniu przeciw rozporządzeniu regencyi.— Broń niezdobytej twierdzy. — Mój głos po zamknięciu obrad. — Bukiet kwiatków polskich. — Konieczność urządzenia drugiego wiecu przeciw sobie. — Zakażenia językowe. — Logiczność dra Szymańskiego. — Dobrzy katolicy. — Odwiedziny p. Benneta.— Prawdopodobna przemowa. —Uniwersytet kobiecy.— Małżeństwo rozumu z pięknością. — Przyzwyczajmy się...

Przed kilku dniami odbył się w Poznaniu wiec, na którym uchwalono protest

przeciwko rozporządzeniu regencyjnemu (z 7 kwietnia), nakazującemu wykład religii w szkołach niższych po niemiecku. Ponieważ na tym wiecu nie byłem a jego cel nasunął mi kilka uwag, więc chociaż po niewczasie proszę przewodniczącego o głos. „Szanowni rodacy! Wszystko to pięknie, ale czy też, kochani moi bracia, zastanowiliście się kiedykolwiek, jaki jest ten wasz „język polski?“ Co do mnie wyznaję, że gdy p. przewodniczący uwiadamia nas, iż „petycya“ wiecu będzie w redakcyach i u obywateli „wyłożoną“ do podpisu — wcale tego nie rozumiem. „Wyłożyć“ znaczy po polsku albo wyjąć, albo objaśnić, ale nigdy złożyć. W numerze 17 gazety p. przewodniczącego czytałem takie zdanie: „Lewica (w Wiedniu) *laboruje* jeszcze nad *deutsche Staatssprache*, chce mieć sposobność do *awantur w komisyi*, do *lamentów*, do *hecy*.“ W nr. 38: „Skompletowanie gabinctu w tej właśnie chwili byłoby stanowczem *coup*.... Komisya *zasystowała* (przerwała) swoje czynności, aż rząd zda relacyę (sprawę) z rezultatu (wyniku) śledztw.“ Na litość, czyż to jest język polski, czy tego warto bronić w „niezdobytej jeszcze twierdzy“ — w domu? Inny dziennik poznański w numerze 19 pisze: „Koło postanawia zająć się wnioskiem o przywrócenie języka polskiego w sądownictwie; prosi posła L. Czarlińskiego, który zresztą w jednej z mów swoich *taki* (?) zapowiedział, aby *tenor* (!) jego *sformułował*. Wytaczać sprawę na niepewne *flukta* dziennikarskiej polemiki itd.“ Doprawdy, jeżeli nawet kwas pruski wytrawi tę barbarzyńską gwarę, nie zrobi żadnej szkody naszemu językowi. Ale co on ma wytrawiać, czem zastąpi: *deutsche Staatssprache* i *hece*? Chyba zgermanizuje: *laborowania*, *flukty*, *tenory* i *coupy*! Powiecie, że tak źle nie zawsze bywa? No, to ja wam pokażę, jak bywa inaczej — czysto po polsku. W numerze 20 gazety p. przewodniczącego znalazłem następujący klejnot stylistyczny: „skoro reprezentacye wybierają *się* z rozumiejącym *się* samo przez *się* mandatem;...“ w numerze zaś 28: „towarzystwo oświadczyło gotowość uratowanym podróżnym zwrócić *wypłaconą* kwotę a wylegitymowanym sukcesorom zaginionych względnie (!) utopionych *wypłacone* pieniądze *wypłacić*.“ Więc na takich to wzorach dzieci polskie mają kształcić swą mowę? Ponieważ panowie nie żartujecie i macie najlepsze chęci, więc wam doradzę drugi środek ochronny: oto po wiecu przeciwko regencyi szkolnej, zwołajcie wiec przeciwko sobie, zwłaszcza, że jesteście stokroć od niej winniejsi. Niemcy germanizują was przynajmniej z interesu i nienawiści, a wy sami germanizujecie siebie z miłości do ojczystego języka. Wpływy otoczenia i szkoły mogą wam służyć za wymówkę tylko do pewnego stopnia. Bo skoro uświadomiliście sobie niebezpieczeństwo, należałoby nie ściągać go przynajmniej dobrowolnie. Tymczasem język polski w prasie poznańskiej jest barbarzyńską mieszaniną najrozmaitszych śmieci, przyprawioną wstrętnem niechlujstwem rodzimem. Takiej gotowości do przetykania mowy wyrazami obcymi, takiego niedbalstwa w porządkowaniu własnych, takiego ich zlepiania śliną, która bez namysłu się sączy — niepodobna znaleźć w żadnem dziennikarstwie, dbałem o największą siłę narodową. Gdybym był inspektorem niemieckim w Poznaniu, nie wynaradawiałbym dzieci polskich w szkole, ale kazałbym im czytywać miejscowe dzienniki polskie w domu — tej „niezdobytej jeszcze twierdzy.“ Dawniej dziwiło mnie to, że dziennikarze niemieccy znają język polski; dziś widzę, że oni mogą łatwo czytać zagraniczne pisma nasze. Dla czego by berlińczyk lub wiedeńczyk nie miał rozumieć takiego np. wyrażenia: „zasystowanie debatów parlamentarnych inwolwuje ideę prolongowania ankiety?“ albo: „ministeryum proteguje idiomy słowiańskie“ (autentyczne!)? Jeżeli kto do zrozumienia tych dziwolągów potrzebuje słownika, to tylko my — polacy. Dzięki poznańsko-galicyjskiemu wpływowi już i na języku prasy warszawskiej pojawiła się rdza germańska: *przedkładania*, *systowania*, *przydzielania*, *obsyłania* wystaw itp. roją się we wszystkich telegramach i artykułach politycznych. Partactwo dziennikarskie zrobiło z pięknej naszej mowy jakąś brudną, na rozmaitych stołach wytartą ścierkę, której nie pierzemy nawet wówczas, gdy mamy ją w walce podnieść jako sztandar narodowy. To jest — darujcie panowie — występek, ohyda..“ Do porządku!— słyszę głos p. przewodniczącego. Przerywam więc zarzuty, ale pozwolę sobie jeszcze zauważyć, że równie jak ja do porządku na wiecu przywołany dr. Szymański dowodził bardzo logicznie. Gdy polecono religię wykładać w szkołach poznańskich po niemiecku, udał on się do pewnego księdza na Szlązku, który go zapewnił, że to wierze nic nie szkodzi i że dzieci, w ten sposób uczone, będą „dobrymi katolikami.“ Ponieważ takie jest również „przekonanie“ dra Szymańskiego, więc mu odebrano głos. Najniesłuszniej. Kto czyta gazety poznańskie i wyznaje ich politykę, nakreśloną przez kardynała Ledóchowskiego a chce być logicznym, musi przyjść do tego samego wniosku. Tylko mnie odszczepieńcowi się zdaje, że „duszpasterze“ (także nowotwór językowy) z nad Warty, hodując merynosy rzymskie, zbyt zapomnieli o owcach swojskich.

Każde jednak złe ma dobrą stronę. Jeżeli Bennet, słynny wydawca *New-York-Heralda* w przejeździe do Moskwy odwiedzi Warszawę, nie będzie się nudził, bo dzięki naszej kosmopolitycznej gwarze dziennikarskiej odczyta sobie bez trudu najświeższe wiadomości *Kuryera Warszawskiego*. Zobaczy on przytem, jakie to my mamy „telegramy własne!“ Jego korespondent przesłał z Bayreuthu do Ameryki po drucie w nutach ważniejsze ustępy z *Parsivala*, a my, panie mamy na trzeci dzień już telegramy o posiedzeniu Akademii krakowskiej, które poczta przyjechały o 12 godzin wcześniej. Spodziewam się, że nasz członek kongresu międzynarodowego uczci Benneta w sposób godny dziesięciu kolumn ogłoszeń i przemówi do niego *a capite*:

„Po staropolsku!
Gość w dom, Bóg w dom.
Kuryer Codzienny głupi, że nie szanuje tradycyi.
Witaj nam panie Bennet!

Na kongresie londyńskim — mam honor być przedstawicielem literatury polskiej i napisałem dramat, w którego „głębie zapuszczał się“ nawet mój własny sprawozdawca — otóż na kongresie londyńskim miały być wypowiedziane mowy, które popsuły sytuacyę polityczną.

Odradziłem.

Kuryer Codzienny myśli, że drukując tłustemi czcionkami nagłówki doniesień, utyje a ja schudnę.

Dyabli go wezmą z liberalną kokardką!

Stanąłeś pan prawdopodobnie po raz pierwszy na tej ziemi, po której chodziła Modrzejewska.

Kuryer Codzienny...

— Czy kolega masz dużo własnych wagonów — odezwie się Bennet — pożyczyłbym kilka do Moskwy.

— Wagonów nie mam, ale przed moją redakcyą jest stacya dorożek.

— Yacht mój, stojący w porcie baltyckim, na wasze usługi, jeżeli zechcecie wybrać się do Ameryki, gdy będę wracał.“

Może wreszcie scena ta rozegra się inaczej, mnie idzie tylko o to, ażeby p. Bennet był powitany uroczyście i przez tego, który nas wszystkich w sobie mieści.

Gdyby wydawca amerykański dał kilka tysięcy dolarów na projektowany uniwersytet kobiecy, spełniłby czyn chwalebny. Rozbudzona bowiem ofiarą p. Łojki chęć powiększenia funduszu nie zrodzi zapewne wielkich owoców. Główne kapitały spoczywają w ręku mężczyzn, a ci znowu nie widzą dla siebie interesu w kształceniu kobiet. Nieukształcone są groźne, piękne — straszne, a cóż będzie, gdy się znajdą piękne i ukształcone! Nie mogę wyobrazić sobie większego niebezpieczeństwa. Stalowe serca topią się dziś jak wosk w ogniu uroczych spojrzeń, oczarowani widokiem ślicznych pawic głupieją, kradną, zabijają się. Wystaw sobie teraz czytelniku, że jakaś cudowna niewiasta zacznie mądrze mówić — rodzie męski, co się z tobą stanie! Mam jednak niewzruszoną nadzieję, że wiedza wyższa uczyni kobiety brzydszemi, że nada im wartość umysłową kosztem estetycznej, że piękne strusie zamiast nas zachwycać blaskiem swych piór, zaczną, jak dziś w ogrodach zoologicznych, zajmować się pracą w zaprzęży u wózków. Przykrą będzie ta zmiana? Przyzwyczaimy się — rzekła do mnie pewna miłośniczka nauk przyrodniczych, dla której słońce zamieniłoby się w zwierciadło, gdyby chciała badać jego plamy. Niewątpliwie przyzwyczaimy się do wszystkiego, ale nie do spokojnego patrzenia w piękne oczy, z których przegląda rozum. Jeżeli więc piękne (zawsze!) czytelniczki chcecie przejmować świat męski dreszczem, zapanować nad nim, a przynajmniej wybić się z jego niewoli—no, to uczęszczajcie na uniwersytety.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Rehabilitacya Ptolomeusza. — Pieszczotka p. Reklewskiego. — Jacek z Koziej wólki w koronie męczennika i z halabardą stróża narodu. — Koniec szlachetnych aspiracyj u Stępkowskiego. — Emigracya na zielone błonia. — Uchwała gminy w Luboli i moja suplika do św. Floryana. — Niezaszczytna *duma*. — Odpowiedź.—Względne wakacye.

A jednak Ptolomeusz miał racyę!

Jeżeli nie cała ziemia, to przynajmniej „większa własność“ jest niezawodnie środkiem powszechnego ciążenia. Wszystkie słońca i gwiazdy naszej gazeciarskiej konstelacyi kręcą się koło tego *ogniska* z rozrzewniającą stałością. Pewne zakłócenie harmonii ruchów zdarza się tylko cztery razy do roku, gdy wstępujemy w znaki: barana, raka, wagi i koziorożca. Wtedy bowiem nastaje chwila „przesileń kwartalnych,“ wtedy odbywa się „porównanie“ jasnych jak dzień pragnień redaktorskich, z ciemną, jak noc, kieszenią wydawcy, wtedy, nakoniec, wszystkie ekliptyki pochylają się, aby promienie ciepła i światła zdążały prostopadle do „posiadłości.“

Że oświecają — to dobrze, bo „planeta,“ jak wiadomo, własnego blasku nie posiada; ale niewczesne ogrzewanie miewa nieraz smutne następstwa: pod jego wpływem lęgnie się w „środku“ robak zarozumiałości i samouwielbienia.

W ostatnich czasach ze szczególnym zapałem uwija się po swojej drodze kometa *Rolnicza*, wlokąc za sobą długi ogon prenumeratorów. Osiodławszy tego latawca, używa na nim przejażdżki pan C. Reklewski, trzymający w objęciach miłe dziewczątko swego pióra — „solidarność.“

„Jeżeli ludzie — powiada on — niemający najmniejszego pojęcia o trudnościach zawodu ziemianina, o odpowiedzialności, ciążącej na stróżach ziemi ojczystej, bezkarnie toczą podjazdową walkę z tak zwaną inteligencyą wiejską... grupują około siebie stronnictwo, rekrutowane z pomiędzy młodzieży szlacheckiej, kształcącej się chwilowo w Warszawie; jeżeli ludzie ci,

właśnie pośród tej młodzieży szerzą zasady osłabiające stanowisko inteligencyi wiejskiej, ośmieszające tradycyę i wszystko, co naród ukochał, to nam tem silniej oprzeć się należy, wyrwać młódź naszą z pod wstecznych (?) wpływów i wytworzyć stronnictwo, oparte na zasadach pracy legalnej, umiarkowanej, pracy idącej w parze z wiarą naszych przodków, z tradycyą i aspiracyami narodu."

Przedewszystkiem, p. Reklewski, tradycyę naszą ośmieszają nie postępowcy, ale ci właśnie, co na głowę próżniaków wtłaczają koronę męczeńską, a do rąk ich wciskają przemocą halabardy stróżów narodu.

Cóż to naród nasz ukochał, czego my uszanować nie umiemy? Wszak zwalczamy ciemnotę i niedołęstwo, a w tych, naród nasz lubuje się tylko chwilowo i to pod wpływem waszych kadzideł. Co do inteligencyi wiejskiej, którą p. R. bardzo słusznie „tak zwaną“ mianuje, to stosuje się już ona w części do jego programu, gdyż praca jej jest bardzo, bardzo „umiarkowaną.“ „Winniśmy pokazać, że potrafimy wyrobić w sobie ducha solidarności (czy odbierając waszą młodzież z Warszawy?) nie w celach przewagi kastowej, ale dla przykładu ogółowi... Pracujmy dla ludu i z ludem.“

Owszem — pracujcie. Ale zanim to nastąpi nie oburzajcie się na naszą walkę, nie nazywajcie jej podjazdową, gdyż jest i ma prawo być zupełnie otwartą. Dopóki zgromadzeni z kilku powiatów ziemianie będą nazywali marzycielem tego z pomiędzy siebie, kto zechce chłopów przypuścić do spółek rolniczych, dopóty nie będziecie mogli nakazać nam milczenia.

Zgodzę się zresztą z artykułem p. R., którego dążności — pominąwszy wylane na nas czernidło — są zacne, zgodzę się, ale — z warunkiem. Panie Reklewski, na miłość Boga, nie odbierajcie nas z Warszawy, bo się skompromitujecie. Kiedy, sprzedawszy buraki i pszenicę, urządzicie jeneralną po nas wyprawę, nie omieszkacie pewno zajrzeć do Stępka, bo tego „ukochaliście“ także. Utoną tam „szlachetne aspiracye,“ halabardy wypadną wam z ręki i my — zostaniemy w Warszawie. Ucałujemy was z dubeltówki, ale stąd nie ruszymy — chyba, że przestaniecie być „tak zwaną“ inteligencyą.

Dogadzając „szlachetnym aspiracyom“ do pasania gęsi i cieląt, dzieci wiejskie wynoszą się już tłumnie ze szkółek na zielona błonia. Z tego tytułu zwraca się *Gazeta Warszawska* do „stróżów narodu,“ aby przez pełnomocników gminnych oświadczyli się przeciwko tak długim wakacyom. Byłbym chętnie oświadczył się tutaj na korzyść *Gazety*, gdyby nie obawa zarzutu, że pragnę uśmiercić tradycyę pastuszych fujarek. O *fujarkach* mówię bez aluzyi.

Nie doczekawszy się pracy „z ludem i dla ludu“ włościanie wsi Luboli — pod Wartą, sami postanowili urządzić swoje propinacyjno-karczemne stosunki. Na zgromadzeniu gminnem zapadło wiele uchwał pożytecznych, a mających głównie na celu poskromienie tradycyjnego pijaństwa. Na nieposłusznych będą odtąd nakładane kary pieniężne, dość znaczne. Środek taki skuteczniejszym okaże się zapewne, niż obawa mąk piekielnych, których zresztą pijak nie uważa za coś groźnego, przypuszczając, że będzie siedział w beczce płonącego spirytusu i myśląc zawczasu o częstem dawaniu nurka...

Co do mnie, to gdybym się znalazł na tamtym świecie (ale nie w piekle) poprosiłbym przedewszystkiem św. Floryana, aby pozwolił ludziom nie obchodzić jego święta tak prędko po św. Jakóbie i Filipie. Prośbę moją poparłbym rozpaczliwym kalendarzem pewnej parafii z okolic Bobrownik w Lubelskiem.

Słuchajcie: 1 maja święto parafialne Filipa i Jakóba; 2 maja jarmark w Bobrownikach; 3 maja Wniebowstąpienie, 4 maja drugie święto parafialne — Floryana... Taką uroczystość, jaka wypadła we czwartek — obchodzić warto i należy, ale święty Floryan na pewno nie miałby pretensyi, gdyby go uczczono — pracą koło roli nie proboszczowskiej.

Nie „dla przykładu ogółowi,“ ale „w celach przewagi kastowej“ zsolidaryzowali się niedawno mieszkańcy Białegostoku. Gród ten posiada pewną „dumę,“ która jednak nie jest jego *chlubą*. Członkowie *pysznej* instytucyi, zaspokoiwszy zrana — kosztem jakiegoś kamienicznika — swoje „aspiracye“ do piwa i wódki, na południowem posiedzeniu zwolnili go od podatku, jakim całe miasto jest obłożone. W Białymstoku więc nie „ręka rękę myje,“ ale najprzód „ręka gardła płócze“ a te przez wdzięczność opłókują swoją *dumę* — z dochodów.

Pewien obywatel robi mi zarzut rozmyślnego pomawiania wszystkich ziemian o wrogie usposobienie ich względem parcelacyi: „na 100 naszych obywateli 99 oświadczy się napewno za parcelacyą.“ Na procent powyższy nie godzę się stanowczo, ale też nigdy nie mówiłem o *wszystkich* ziemianach, jako o przeciwnikach drobnej własności. O ile sobie przypominam, polemizowałem tylko w tym przedmiocie z p. Plewaką, który dojrzał był zbytek „liczby i siły“ w tym samym „środku,“ w jakim dzisiaj p. Reklewski ulokował naszą „honorowa straż narodowego bezpieczeństwa.“

Jeden z moich korespondentów doniósł mi znowu o splamieniu się jakiejś sutanny; z wiadomości tej korzystać nie będę. Nie mogąc mieć, jak inni, zupełnych wakacyj, postanowiłem uwolnić się na dłuższy czas przynajmniej od pracy najzmudniejszej — upominania niepoprawnych.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 maja.

Wiec narodowy rusinów galicyjskich. —Ich organizacya polityczno-narodowa. — Przykre wrażenie noweli szkolnej w prasie austryackiej. —Nagana udzielona biskupom francuskim przez Radę państwa. — Fanatycy anglikańscy. — Nowe zamachy dynamitowe irlandzkie.—Nienawiść egipcyan do najeźdźców angielskich i trele lorda Dufferina.

Z powodu nadchodzących wyborów do sejmu galicyjskiego objawia się żywy ruch polityczny śród rusinów. Tak zwana „Ruska rada“ zwołała na maj wielki wiec narodowy do Lwowa. Jeden dzień nie wystarczy prawdopodobnie na wyczerpanie obszernego programu obrad. Wieczorem pierwszego dnia uroczystości ma być dany koncert z deklamacyą i śpiewami. W salach „Narodnego domu“ zbiorą się przedstawiciele i przywódzcy całej Rusi czerwonej w kostiumach ludowych. Liczne mowy polityczne poświęcone będą najważniejszym sprawom. Głównym celem wiecu jest przeprowadzenie ogólnej organizacyi sił polityczno-społecznych całej Rusi, oraz przyszłe wybory do sejmu lwowskiego. Wogóle w ostatnich czasach na Rusi widocznem jest znaczne ożywienie śród ludu. Garnie on się chętnie do oświaty, kupuje książki i czyta pisma popularne, zakłada sam liczne czytelnie i spichrze zbożowe a wybiera posłów świadomie. Inteligencya miejscowa idzie z nim łącznie i strzeże jego interesów.

Wrażenie, wywołane przez rozstrzygnięcie najważniejszych spraw oświaty i szkolnictwa w Austryi większością zaledwie trzech głosów w kierunku wstecznym, dotychczas odbija się smutnie w całej prasie tej skołatanej monarchii. Najbardziej atoli wre przeciw reakcyjnej noweli postępowe dziennikarstwo Czech, których narodową pracę nad szerokiem rozpowszechnieniem oświaty wśród ludu najdotkliwiej stosunkowo dotyka nowe prawo.

O ile w Austryi feodalno-klerykalne żywioły podnoszą głowę, o tyle pochylać ją muszą we Francyi wobec sprężystego rządu Rzeczypospolitej. Francuska Rada państwa po długich debatach w sprawie pięciu biskupów, oskarżonych o przekroczenie swej władzy, wydała już decyzyę, potępiającą podsądnych. Chodziło o uznanie biskupów z Langres, Annecy, Viviers, Valence i arcybiskupa z Albi winnymi przeciwprawnego ogłoszenia opinii papieskiego komitetu cenzury, czyli tak zwanej kongregacyi indeksu o podręcznikach szkolnych we Francyi. Rada państwa postanowiła udzielić dostojnikom kościelnym surową naganę za nadużycie władzy. Jednocześnie wydała drugą decyzyę, ogólną, mocą której płaca, udzielana przez rząd biskupom i innym duchownym, może być wstrzymywana tytułem kary dla obostrzenia nagan. Ważną tę uchwałę usprawiedliwiono tak: „Zważywszy, że państwo ma prawo nadzoru i kierunku ogólnego służby publicznej, wypływające z jego zwierzchnictwa najwyższego; zważywszy, że prawo to względem duchownych zawsze było wykonywane, Rada uważa, że rząd może zastosować względem duchownych wszelkich wyznań bez różnicy prawo czasowego lub całkowitego cofnięcia płacy w drodze karno-dyscyplinarnej.“

Z drugiej strony Kanału kaletańskiego, w Londynie, jednocześnie z rozprawami nad bilem o zniesieniu przysięgi religijnej w parlamencie, zaszły w katedrze św. Pawła dwa fanatyczne wybryki, które wywołały silne wzburzenie. Młody człowiek, nazwiskiem Lambert, podczas nabożeństwa powstał z miejsca i zawołał donośnym głosem: „Wierni! chcą nas nawracać na katolicyzm bałwochwalczy, precz z papieżem!“ Lambert aresztowany oznajmił przed lordem merem, że będąc wychowany w zasadach anglikanizmu, uważa za swój obowiązek protestować i występować przeciw ludziom, którzy profanują tę religię przez nadawanie jej form katolickich. Jeszcze wybitniej w tym kierunku wystąpił inny fanatyk anglikański, który w kilka dni potem, w tejże samej katedrze, podczas odprawiania liturgii rzucił się na ołtarz, zdarł z niego ozdoby i polamał w kawałki. Stawiony przed sądem oświadczył podobnie jak pierwszy, że chciał przez to zaprotestować przeciwko dążności zbliżenia rytuału anglikańskiego do katolickiego, przeciw pstrokatym ozdobom, świecom, śpiewom kościelnym itp. Obaj fanatycy skazani zostali na kilkudniowy areszt za naruszenie spokoju publicznego.

Policya angielska, alarmowana nieustannie przez niebezpieczne ruchy fenienów odkryła znów drugą wielką fabrykę dynamitu w Northamptonie, a gmach redakcyi *Timesa* zagrożony był ponownym wybuchem. Po za drukarnią znaleziono kosz napełniony materyą wybuchową; knot utwierdzony w koszu był tak przygotowany, że mógł być z łatwością zapalony w chwili sposobnej. Piekielna ta machina została oddana policyi, ktora zaraz rozciągnęła nadzór nad gmachem zagrożonym.

Niezbyt pomyślnie wiedzie się anglikom i w świeżo zagarniętej żyznej dolinie Nilu. Lord Dufferin, wyjeżdżając z Kairu do Konstantynopola, wystosował do prezesa ministeryum egipskiego Szeryfa-paszy rodzaj listu pożegnalnego, wyrażając nadzieję, że usiłowania rządu królowej w przeprowadzeniu trwałych reform w Egipcie uwieńczone zostaną wkrótce dobrym skut-

kiem. „Jako przyjaciel prywatny, kończy lord, bez żadnej przesady urzędowej, mniemam, że nowy porządek zaprowadzony obecnie nad Nilem musi utrwalić się pomyślnie. Słowa wypowiedziane przez Granvilla, wyrażające ufność i życzenia dla kedywa, którego rząd opartym został na silnych podstawach, nie były czczemi.“ Niestety świeże fakty nie potwierdzają bynajmniej dyplomatycznych trelów p. Dufferina. Wedle ostatnich wiadomości z Kairu surowość działania komisyi śledczej tamecznego sądu wojennego drażni silnie krajowców. Pamiętają tam bardzo dobrze, iż anglicy wywieźli na wygnanie obrońcę kraju Arabiego, a podrzędnych jego towarzyszów skazują prawie bez sądu.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Rządy pruskie. Prusacy zmierzają najwidoczniej do tego, aby mowa słowiańska najzupełniej zamarła nad Wartą. Do niedawna wolno jeszcze było uczyć dzieci polskie przynajmniej religii w języku ojczystym, rozporządzeniem regencyi poznańskiej z dnia 7 kwietnia b. r. zniesiono jednak i ten ostatni „przywilej“ a mowę słowiańską wypędzono już zupełnie z „niemieckiej“ szkoły. Na to postępowanie rządu pruskiego oburzają się już nawet uczciwi niemcy. Tak np. pisze berliński *Reichsbote*:

„Religia i język państwowy należą do tych rzeczy, które są najświętszą własnością każdego człowieka. Najuboższy odczuwa boleśnie każde pod tym względem ograniczenie i wdzieranie się w jego prawa. Historya nauczyła, że nic nie wywołuje tak wielkiej goryczy, jak właśnie ograniczenia na tem polu. Z polaków nigdy nie zrobimy niemców, ale moglibyśmy ich zrobić dobrymi i wiernymi obywatelami niemieckiego cesarstwa. Zrobić z nich coś więcej jest rzeczą niemożebną i dlatego nie trzeba starać się nawet o to. Jeżeli gonimy za pierwszym, niedoścignionym celem, to nie osiągniemy tego nawet, co można osiągnąć.“

Oczywiście *Germania* przyznaje, choćby dlatego, że jest organem katolickim i dba o należyty wykład religii, zupełną słuszność powyższemu dziennikowi. Inaczej jednak sądzi naczelny organ liberalnych narodowców, *National Zeitung*. Jak wiadomo, powyższe rozporządzenie zostało drugiem częściowo zmienione. Nie przypadło to do smaku organowi partyi postępowej, dalejże więc wymyślać na regencyę poznańską, której zarzuca słabość względem polaków. *Reichsbote* jednak złapał niecną dudę niemieckiego liberalizmu na niekonsekwencyi.

Nominacya dra Euz. Czerkawskiego naczelnikiem wydziału w ministeryum oświaty przyjęta została przez *Gazetę krakowską* z takim zachwytem, jak gdyby się już spełniły wszystkie życzenia kraju. „Nareszcie... nareszcie — woła ona — odnieśliśmy korzyść z zawotowania noweli szkolnej!“ *Nowa Reforma* również uradowana, ale w wykrzyknikach nie popada w przesadę.

„Jeżeli gdzie — mówi — to w ministeryum oświaty zakorzeniona była zawsze i trwała dotąd niechęć i uprzedzenia przeciw Galicyi i przeciw naszej Radzie szkolnej, co w połączeniu z nieznajomością naszych stosunków wydawało najgorsze skutki. Konieczność zamianowania polaka na jakieś wyższe stanowisko w tem ministeryum zdawna i silnie była odczuta w kraju. Poseł Czerkawski wniesie do ministeryum znajomość gruntowną naszych spraw szkolnych i potrzeb kraju pod względem oświaty, a nie wątpimy, że temiż samemi zasadami autonomicznemi, których bronił zawsze w sejmie, kierować się będzie na ważnem stanowiska szefa sekcyi.“

Dla wyjaśnienia dodajemy, że posada naczelnika wydziału w ministeryum jest godnością pierwszą po ministrze i że piastujący ją może oddać krajowi większe częstokroć usługi, niż sama nawet delegacya za pomocą żądań, stawianych poufnie rządowi lub publicznie w parlamencie. Z tego też stanowiska spogląda *Gazeta narodowa*, nie przecenia jednak wcale rzekomego objawu życzliwości rządu, zaznacza bowiem, że posadę tę ofiarowali swego czasu już centraliści drowi Cz., chociaż czynili to z tego jedynie powodu, aby popростu usunąć z pola parlamentarnego człowieka, którego się obawiali.

„Na tem polu—twierdzi gazeta — zjednał on sobie niespożyte zasługi gruntowną a uniwersalną prawie znajomością spraw, niezłomną energią, nieposzlakowaną prawością tudzież podziwienia godnym taktem śród najdrażliwszych dyskusyj parlamentarnych. Gruchotał przeciwników a nigdy nie obraził. Pewnego razu szło o nieuchronne odmówienie pewnym żądaniom południowych słowian przedlitawskich. Panowie centraliści oddali referat dr. Czerkawskiemu, aby odium tej odmowy zwalić z siebie a właśnie na delegacyę naszą. P. Cz. tak się jednak sprawił, że owszem zjednał sobie i delegacyi naszej jeszcze większy szacunek u tychże słowian.“

Podobnie rozumuje i *Kuryer lwowski*. Tylko *Czas* i *Dziennik polski*, każdy z swoich powodów, notują po kronikarsku wiadomość o nominacyi. Może dlatego, że nie została jeszcze urzędownie ogłoszoną?..

O mandat z ziemi żydowskiej — tak by przynajmniej można nazwać okręg wyborczy miast Buczacz-Kołomyja-Śniatyn w Galicyi — ubiega się tym razem aż sześciu kandydatów, między tymi jeden tylko chrześcianin, hr. Romaszkan. O ten posterunek trzeba formalną zawsze staczać walkę z obcokrajowcami, mianowicie wiedeńskimi żydkami, którzy spekulując na ciemnotę współwyznawców swoich w Galicyi, złote im góry obiecują, natrętnie ofiarując swe usługi. Tym razem wypłynęła niespodziewanie na wierzch kandydatura znanego, jeżeli nie całemu światu, to przynajmniej mieszkańcom Florisdorfu pod Wiedniem rabina Blocha, ktory wszelkich godziwych i niegodziwych chwycił się środków, aby tylko wejść do Rady państwa. Słusznie oburza się na to wychodząca we Lwowie izraelska *Ojczyzna*:

„Przedewszystkiem wymagamy od posła znajomości stosunków i potrzeb kraju *oraz pewnego przywiązania do tej ziemi i tej ludności, którą chce zastępować*.. Nie można pilnować interesów, których się nie zna. Każda narodowość i każdy kraj mają swe odrębne właściwości — potrzeby ich i stosunki zmieniają się codziennie. Dlatego ten tylko ma prawo ubiegać się o najwyższą godność obywatelską, o mandat poselski, kto pilnem okiem śledzi rozwój społeczeństwa i w ciągłej z niem będąc styczności, baczną zwraca uwagę na zmianę warunków pomyślnego bytu narodowego. Cóż uprawnia p. Blocha do ubiegania się o krzesło poselskie z galicyjskiego okręgu wyborczego? Jakie posiada on zasługi? Człowiek ten, który jeszcze w dzieciństwie porzucił kraj rodzinny, by nigdy do niego nie wrócić więcej, który zapatruje się na ludność jego z właściwą tego rodzaju wychodźcom „życzliwością,“ przypomina sobie nagle, że istnieje Galicya, kiedy chodzi o mandat poselski i uczuwa miłość do kraju tak gorącą, że chciałby ten kraj reprezentować i bronić jego interesów... Co za ofiarność!.. Człowiek, który przez całe życie studyował hebraikę, chce zaważyć na szali rozpraw parlamentarnych... Co za wygórowana skromność!.. Człowiek, co przesiąkł pruską niemczyzną i o stosunkach Galicyi jeszcze mniej wie, niż dr. Rohling o Talmudzie (?), chce być reprezentantem Galicyi... Co za nadmiar odwagi cywilnej!..

Rzeczywiście nie wiemy, czemu się więcej dziwić: bezgranicznej zarozumiałości kandydata, czy naiwności popierających go wyborców.“

Ma racyę *Ojczyzna* zupełną. Gdyby polski rabin ubiegać się zechciał o mandat poselski np. z Niższej Austryi albo Styryi, wyśmianoby go i uznano za szaleńca. A przypuścić nawet trudno, aby tam znalazł zwolenników. Jest jednak nadzieja, że kandydatora Blocha upadnie. Najlepiej by było, aby wyszedł z urny wyborczej postępowy żyd krakowski, dr. Warschauer, współpracownik *Nowej Reformy*.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Protest. „Szanowny Redaktorze! Ponieważ za łaskawem pośrednictwem redakcyi *Prawdy* zaprenumerowałem był na kwartał 1-szy prospektem szumnie zapowiadające się wydawnictwo tygodnika *Roli*, uważam więc za słuszne obecnie zwrócić się znowu do redakcyi *Prawdy* z prośbą, aby raczyła kilka słów poniższych umieścić.

Prenumerując kilka pism z kierunkiem postępowym i konserwatywnym i czytając je uważnie, znajduję zawsze miłą dla wieśniaka rozrywkę, bo spotykam tu i tam na sztandarze ideę dobra społecznego, która bez względu na krańcowość kierunku dyktuje piszącym pożyteczne myśli i z korzyścią dla ogółu wyświetla na swój sposób wiele powikłanych spraw społecznych. Sądzę, że każdy czytelnik, rozważając podany mu materyał w pomienionych pismach, wyrabia sobie pewien pogląd samodzielny na dane kwestye i czuje się dostatecznie wynagrodzonym za przesłaną prenumeratę, bo odnosi korzyść umysłową i zadowolenie wewnętrzne, że czasu przez czytanie nie zmarnował.

Zapytuję tych, którzy mieli odwagę zaprenumerować, a tembardziej czytać *Rolę*, jaką po kwartale prenumeraty osiągnęli korzyść; czy nie żałują dziś czasu straconego na czytanie szumnej frazeologii i ciągłych przechwałek redakcyi o głosach popierających jej dążenia, walkę z wiatrakami itd. itd.? Nie wiem, co inni myślą, lecz ja uważam za stosowne wyrazić tutaj moje zdanie, na które zgadzają się moi znajomi prenumerujący *Rolę*, że pisma polskiego o poważnym programie, któreby z tąką bezprzykładną arogancyą narzucało się ze swojemi natrętnymi a pustymi frazesami czytającemu ogółowi chyba dotąd nie było. Milczenie, jakiem prawie cała prasa warszawska dotąd pokrywała wydawnictwo *Roli*, ośmieliło ją do niesłychanej buty i pyszałkowatości, które znalazły słuszne, acz w formie żartobliwej wyrażone ośmieszenie w feljetonie *Słowa*.

Oburzenie, jakiego doznawałem przy każdym numerze *Roli* wzrosło do kulminacyjnego punktu, gdy w nr. 14 przeczytałem feljeton „Pancernego,“ w którym oprócz pochwalnych hymnów śpiewanych sobie, zamieszczono bezsensowny list p. Radwana, a Odę na cześć *Roli* schowano do biurka.

Ponieważ *Rola* powołuje się ciągle na listy od prenumeratorów, tchnące zachwytem dla idealnie doskonałej redakcyi i pisma, proszę przeto *Prawdę* w imię prawdy zamieścić w formie, jaką uzna za stosowną, protest jednego z ziemian-rolników i prenumeratorów przeciwko zbytniemu przechwalaniu się *Roli* ze swojej popularności w naszem społeczeństwie. Protest ten popieram jeszcze i tem, że na drugi kwartał *Roli* nie zaprenumerowałem i nie prosiłem redakcyi o przysyłanie swoich nieznośnych wymyślań na wszystko i wszystkich, a jednak *Rola* narzuca mi się ciągle.“

Józef M. z Ochoży.

Wiedza. Nie poprzestając na skropleniu tlenu prof. Wróblewski skroplił również azot i zamroził alkohol.

Muzeum pszczelnicze w Warszawie wkrótce otwartem będzie dla publiczności—na wykłady i demonstracye w pasiece uczęszcza 90 osób.

Teatr. Panna Reszke występuje na scenie warszawskiej.

Statystyka. W roku zeszłym na wszystkich drogach żelaznych w państwie rosyjskiem uległo wypadkom 1356 osób. Z tej liczby na Królestwo przypada 24 zabitych i 47 rannych.

Domy noclegowe, mające zastąpić dotychczasowe przytułki cyrkułowe, powstaną w jesieni, ale składki na ten cel, z początku dosyć znaczne, teraz prawie zupełnie ustały.

Bibliografia polska. T. H. Huxley *Wykład biologii praktycznej*, przetłomaczył A. Wrześniowski, Warszawa.

— *Biblioteka najc. utw. lit. eur.* za marzec i kwiecień zawiera: dalsze ciągi komedyi ludzkiej Balzaca, Dahljszczyzny T. T. Jeża, Dziejów literatury powsze-

chnej tom II, Poezye oryginalne i tłomaczone A. Morsztyna.

— I. Polak *O znaczeniu sztuki lekarskiej* i o stanowisku lekarzy.

— F. Majkowski *Sprawozdanie* lekarskie o chorych w Busku.

— Wyszły z druku szósty i siódmy tom *Pamiętników księcia Metternicha*. W siódmym tomie znajduje się polityczny testament autora.

Curiosum. *Die Post* zamieściła artykuł: „Die Schmälerung des deutschen Sprachgebiete" (wypieranie języka niemieckiego z dawnych jego przestrzeni). Po wielu skargach na polonizacyę żywiołu niemieckiego, powiada: polską stolicę założyli, jak inne miasta polskie— niemcy (*Die polnische Haupstadt*, odnosi się to do Krakowa, *war gleich den übrigen polnischen Städten von Deutschen gegründet*).

Legenda wieków. W maju wyjdzie trzecia i ostatnia część tego poematu Wiktora Hugo.

Biskupi. Wskutek układów z kuryą rzymską mianowani zostali: ks. Gintowt arcybiskupem mohylewskim, ks. Popiel—warszawskim; ks. Hryniewiecki biskupem wileńskim, ks. Pallulon — żmudzkim. ks. Kozłowski — łucko-żytomirskim, ks. Zerr—tyraspolskim, ks. Kulińskі—kieleckim, ks. Wnorowski—lubelskim, ks. Borowski—płockim, ks. Sotkiewicz--sandomierskim, ks. Bereśniewicz—kujawsko-kaliskim, ks. Hollak — sufraganem sejneńskim. W tych dniach w Petersburgu, w kościele św. Katarzyny, arcybiskup Popiel otrzymał paliljusz, poczem wykonał przysięgę na wierność w języku rosyjskim. Wizerunki nowych dostojników kościoła podały nasze pisma ilustrowane, ciekawi jednak doznali zawodu, gdyż każda twarz w różnych odbiciach przedstawia się inaczej.

Wystawy. Dyrekcya Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie podaje do wiadomości, iż tegoroczna wystawa dzieł sztuki otwartą zostanie między 15 a 26 czerwca. Za dzieła na wystawę przyjęte opłaca dyrekcya transport, pośredniczy także w sprzedaży za opłatą 5 procent na rzecz funduszu galeryi obrazów.

— W Zamościu (w maju) urządzoną będzie wystawa koni włościańskich,

Prasa. Redaktor *Wieku* otrzymał pozwolenie na wydawanie porannego dodatku do swego pisma za oddzielną opłatą.

— W bieżącym roku w Rosyi 5 gazet i dzienników przestało wychodzić dla braku poparcia, do tej liczby nie należą ani świeżo powstające efemerydy, ani też wydawnictwa zawieszone z przyczyn niezależnych od redakcyi.

— *Golos* wkrótce podobno zacznie znowu wychodzić, jak i poprzednio, bez cenzury prewencyjnej.

Zmarli. E. Manet, naczelnik szkoły impressionistów francuskich.

Komitet zarządzający Kasą pomocy naukowej imienia Mianowskiego ma zaszczyt podać do wiadomości publicznej, że ogólny dochód z 8-miu odczytów, wygłoszonych na rzecz Kasy w kwietniu b. r. wynosił rs. 1370 k. 97. Wydatki: na druk biletów i afiszów, ich rozlepienie, wynajęcie krzeseł, oświetlenie, usługę, różne przyrządy i materyały fizyczne i chemiczne oraz wynagrodzenie p. Fabera wynosiły rs. 636 k. 32. Czysty dochód wyniósł zatem rs. 734 k. 65. Jednocześnie komitet poczytuje za miły obowiązek wyrazić podziękowanie JW. Prezydentowi m. Warszawy, jen. Starynkiewiczowi, za udzielenie na odczyty sali Ratuszowej, oraz pp. E. Dziewulskiemu, J. Jędrzejewiczowi, St. Kramsztykowi, N. Milicerowi, E. Peplowskiemu, L. Wojnie i B. Znatowiczowi, którzy jako prelegenci przyczynili się do pomnożenia funduszów Kasy pomocy naukowej.

Prezes komitetu *Dr. Chałubiński.* Sekretarz *K. Dobrski.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. L. R. w Dynaburgu. Wysłano ponownie.

Ziemowitowi. I te nie.

P. N. N. ponieważ nie ma instytucyj, przyjmujących składki na oświatę ludową, więc rs. 1 odesłaliśmy do Kasy Mianowskiego.

Ofiary na rodzinę Miarki odesłaliśmy do zbierających je.

P. St. W. Nie dla nas.

OFIARY.

Dla najbiedniejszych M. N. rs. 3.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Апрѣля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.